Nr. 57. Lwów, Niedziela dnia 29. Września 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f. We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków. W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jakkolwiek Jan tego dnia a szczególniej w czasie kiedy baron z listem pojawił się w jego mieszkaniu, nie był wcale w usposobieniu do śmiania się, to jednak rozśmieszyć go musiało, że jego właśnie obrał sobie na pośrednika do starania się o rękę Julii. Była to dość komiczna sytuacya, której Jan nie starał się zmienić żadnem wyjaśnieniem. Wydawało mu się to niepotrzebnem, bo był pewny, że zachowanie się Julii objaśni barona dostatecznie, jak nieszczęśliwie trafił. Dość bowiem było raz widzieć ich oboje razem, aby poznać stosunek, jaki zachodził pomiędzy nimi. Aby jednak to poznać, trzeba było widzieć; a baron miał tak krótki wzrok, że nie sięgał nim po za granice własnego nosa i często mu się zdarzało, że wchodząc do jakiego domu witał z uszanowaniem pokojówkę zamiast pani domu, albo chcąc pocałować pannę w rękę, całował rękę swego rywala, szkiełek zaś używać nie lubiał, bo mu raz jedna z dam powiedziała, iż mu z tem nie do twarzy.

Nic więc dziwnego, że nie widział nic z tego co się koło niego działo i będąc w towarzystwie Julii, wszystko, co się odnosiło do Jana, brał wprost do siebie. Jeżeli naprzykład Julia robiła Janowi wymówki za spóźnione przyjście, baron z całą naiwnością tłomaczył się przed nią, że byłby daleko wcześniej przyszedł, gdyby nie pewne przeszkody, o których mówić mu nie wypada. Kiedy na spacerze Julia życzyła sobie, aby jej podano ramię i zwracała się z tem do Jana, baronek co tchu przybiegał i podnosząc na palcach swoją małą figurkę, ofiarował jej z całą galanteryą swoje ramię. Julia bawiła się się tem znakomicie, wpadała w szaloną wesołość w skutek tych pociesznych qui pro quo, jakie baron popełniał na każdym kroku, a że lubiła się śmiać i bawić, więc aby nie psuć zabawy, nie wyprowadzała nigdy barona z błędu i pozwoliła mu wierzyć w swoją sympatyą. Nie przeszkadzało jej to wcale w stosunku do Jana, baron był dla nich rodzajem spirytystycznego medium, za pomocą którego rozmawiali i porozumiewali się ze sobą. Nieraz na spacerze w lesie zdarzało się, że kiedy baronek prowadził Julię pod rękę i kroczył obok niej sztywny i dumny z tego zaszczytu, drugą jej rękę trzymał Jan w swoich rękach i całował i przyciskał do piersi. Julia była zachwycona tą mistyfikacyą i nieraz po cichu powtarzała Janowi wskazując na barona:

— Ach cóż to za nieoceniony materyał na męża. — Nieraz nawet do niego wprost zwracała się z podobną pochwałą.

Baron rósł z uciechy jak na drożdżach, a przynajmniej podnosił się na palcach o ile mógł; towarzyszył jej wszędzie, wysyłał się na rozmaite grzeczności, a potem spowiadał się Janowi ze swoich sukcesów miłośnych. Dla ostatecznego podbicia serca postanowił urządzić bal raz dla tego, że Julia tego sobie życzyła, a powtóre, że sam był podobno wcale nie złym tancerzem i pałał żądzą popisania się przed Julią z tą swoją zdolnością. Nie odstraszyła go wcale wzmianka o nieudanym balu. Baron nie chciał uwierzyć, aby bal nie mógł się udać, skoro on do tego się zabierze.

I rzeczywiście zabrał się wcale nie najgorzej. Podowiadywał się najprzód, gdzie w którym domu znajdują się panny jako tako młode i jako tako zdolne do tańca, a potem wybrał się do tych domów z etykietalnemi wizytami. Sprawiło to wcale nie zły skutek; baron szturmem zdobył sobie sympatyą wszystkich pań, raz dla tego że był baronem, powtóre, że choć baron umiał być grzecznym, a w końcu, że wizyta człowieka mającego wcale nie złe kwalifikacye na konkurenta, dawała dużo do myślenia. Sprytny baronek umiał wyzyskać to dobre usposobienie płci pięknej, zaproponował każdej w szczególności urządzenie balu na cel dobroczyny; na co zgłodniałe zabawy chętnie przystały, wszystkie zaprosił na gospodynie balu. Potem porozsyłał im bilety do rozsprzedania, zamówił salę, urządził i przygotował wszystko, a w końcu szumnemi plakatami zapowiedział bal na dzień 26 sierpnia w sobotę.

Plakaty te zelektryzowały całą ludność w zdrojowiskach, wprawiły w ruch wszystkich, i wszystkie panie krzątały się koło toalety, dobywano z kuferka balowe suknie, które straciwszy już nadzieję sprezentowania się w tym sezonie oczom publiczności, spoczywały pomięte na dnie, odświeżano je, przerabiano, ozdabiano. Panowie zamawiali bukiety dla dam, chodzili z wizytami po domach zapraszając do tańca. Po sklepach kupowano na gwałt różne drobiazgi potrzebne do uzupełnienia toalety, muzykanci uczyli się nowych tańców, służba hotelowa zajęta była ubieraniem sali; słowem wszystko się krzątało. Baron czarodziej dokazał cudów, magiczną sztuką słowa: bal wypędził nudy ze zdrojowisk i wlał życie we wszystkich. Im bardziej zbliżał się zapowiedziany dzień balu, tem ożywienie było większe.

I w wilią balu zjawił się także Adolf. Jan spotkał go na chodniku koło hotelu. Miał minę nadzwyczaj zadowolnioną, mijając go zaledwie raczył mu kiwnąć trochę głową i spojrzał na niego z góry wyniośle i jakby tryumfująco. Jan obejrzawszy się za nim widział, że poszedł prosto do mieszkania Nadermanów.

Wieczorem i on tam także poszedł; ale ku wielkiemu zdziwieniu nie przyjęto go. Służący mu oświadczył, że panienka słaba i dlatego państwo przeprosić go kazali. Pierwszy to raz zdarzyło mu się coś podobnego, bo choć nieraz Julia była cierpiącą na migrenę lub inną jaką pomniejszą słabość, dla niego wyjątkowo drzwi domu bankierów zawsze stały otworem. Dziś i on należał do wyjątków. Tłomaczył to sobie tem, że może Julia chce

wypocząć na jutrzejszy bal i uspokojony tą perswazyą wracał do domu, gdy na zakręcie ulicy spostrzegł barona i Leona idących w kierunku domu Nadermanów. Widział potem, że weszli do sieni. Zatrzymał się czas jakiś na ulicy czekając aż wyjdą. Miał ochotę przyłączyć się do nich i przepędzić wieczór w ich towarzystwie, bądź to w restauracyi lub w domu. Ale choć stał i czekał blisko pół godziny, ani baron, ani Leon nie wyszli.

To go zastanowiło. A więc innych przyjęto, tylko jego nie. Była to niespodzianka, którą napróżno silił się wytłomaczyć sobie. Zaintrygowany tem wszystkiem, nie poszedł już do domu, ale wrócił przed mieszkanie bankiera i zakryty cieniem alei lipowej obserwował je uważnie.

Wszystkie okna były oświecone, w jednem otwartem widział na żółtawem tle światła czarną sylwetkę Julii gestykulującą żywo rękami, a obok niej Adolfa. Głos ich dochodził do uszów jego. Byli widocznie zajęci żywą rozmową. Parę razy Adolf brał rękę Julii i przyciskał do ust swoich, jakby ją prosił lub przepraszał i zapewne zgodziła się, bo podała mu rękę i pociągnęła za sobą w głąb pokoju.

Jan oczom własnym z trudnością wierzył, tak nagłą i niespodzaną była ta zmiana położenia, że nie miał czasu jeszcze oswoić się z nią, tembardziej, że jej całkiem nie rozumiał. Śmiech go litośny brał, kiedy pomyślał sobie, że jak włóczęga jaki wałęsał się wśród ciemności koło domu, gdzie niedawno, bo wczoraj jeszcze, tak gościnnie serdecznie go przyjmowano, a dziś wejść mu tam nie pozwolono. Ale dlaczego? To pytanie wciąż uparcie wracało mu do głowy, domagając się koniecznie odpowiedzi, której dać sobie nie był w stanie. To tylko mógł przypuścić, że nieprzyjęcie go stało się z wiedzą i wolą Julii, bo jej wola w domu była wszystkiem. Ale dlaczego to zrobiła. Dla kogo? Nie podejrzywał nawet, żeby przyjazd Adolfa spowodował taką zmianę w jej usposobieniu. Wprawdzie nieraz w Wiedniu jeszcze doświadczał tego, że Julia zaniedbywała go dla Adolfa; ale wiedział także, że obecność jego w takim razie nie żenowała jej wcale, owszem znajdowała w tem pewną przyjemność widzieć obok siebie ofiarę swego kaprysu. Musiał więc być inny powód, dla którego nie przyjęto go teraz.

Im więcej myślał nad tem, tym trudniej było mu domyśleć się. Odszedł tedy, by nie myśleć więcej, ale myśli powlokły się za nim do domu. Sam się dziwił, że go to tak mocno obeszło. Nie przywiązywał bowiem nigdy wielkiej wartości do względów Julii, wiemy, że używał ich jako rodzaj narkotyku upajającego, łaskotały one jego próżność i zmysłowość, dawały chwilowe roztargnienie; jednak ani w trwałość ich nie wierzył, ani serce jego nie brało udziału. Wstręt nawet nieraz budziły w nim te wyzywające spojrzenia, zalotne słowa, kokietujące obejście. Znał zwodniczą wartość tej niby miłości. A jednak kiedy naraz widział się pozbawionym tego wszystkiego, uczuł coś jakby zazdrość, jakby żal, a przytem i drażnięta miłość własna cierpiała. Nie mógł znieść spokojnie tego, że nie on porzucił, ale jego porzucono i to w tak upokarzający sposób. Nie mógł tak łatwo dać za wygrane i postanowił koniecznie widzieć się z Julią.

Wyszedł więc drugiego dnia rano o tej godzinie, w której zwykle pijała wody. Ale nie było jej przy źródle. Nie zjawiła się również w restauracyi. Rozdrażniony i niespokojny przesiedział tam parę godzin przerzucając machinalnie gazety i patrząc niecierpliwie co chwila na zegarek. Kiedy dochodziła już dwónasta, wstał i poszedł do mieszkania Nadermanów..... i znowu go nie przyjęto. Zniósł to spokojniej niż wczoraj, nie dla tego, żeby się już przyzwyczaił do znoszenia takiego lekceważenia; jeno, że dzisiaj mógł tłomaczyć odmowę Julii tem, że zajęta jest przygotowaniami do balu. Wszystkie bowiem panie, które miały w nim brać udział, siedziały od rana pozamykane w domach jak w haremach, nie wpuszczając mężczyzn zupełnie. Niektóre jeszcze przed obiadem rozpoczynały trefienie głów swoich, bo wszystkiego dwóch fryzyerów było na całe zdrojowiska, każda więc spieszyła się jak można było. Jan pocieszając się tem tłómaczeniem postanowił czekać cierpliwie do balu. Nadarzała mu się tam dobra sposobność rozmówienia się z Julią, bo tańczył z nią pierwszego mazura, do którego sama mu się ofiarowała przed paroma dniami.

Do balu jednak zostawało kilka długich godzin, chciał je zabić jako tako w towarzystwie Leona, albo aptekarza, albo nareszcie nawet barona. Na nieszczęście żadnego z nich nie zastał w domu, ani na spacerze, nie spotkał się nigdzie z nimi, jakby się zmówili nie pokazywać mu się na oczy. Zły i zmęczony wrócił do domu, rzucił się na kanapę, próbował usnąć, i nie mógł, bo natłok myśli nie pozwalał. Leżał tedy udając sam przed sobą cierpliwość i liczył długie godziny, które oczekiwanie dwa razy dłuższemi czyniły.

Nareszcie koło godziny dziewiątej rozpoczął się ruch na ulicy. Słychać było mężczyzn spieszących wśród gwarnej i wesołej rozmowy do sali balowej; od czasu do czasu jakaś bryczka wioząca damy i ojców rodziny zaturkotała po kamieniach. Ten ruch uspokoił trochę Jana, umyślnie ociągał się z ubieraniem, aby Julię tem pewniej zastać, gdy wejdzie na salę. Nie chciał tam na nowo przechodzić wszystkich mąk niecierpliwego czekania; wolał ten czas przeczekać w domu. Ubierał się więc z flegmatyczną systematycznością, bawiąc się nad każdym drobiazgiem. Kiedy ukończył zupełnie toaletę i wyszedł z domu, była już dziesiąta.

Na sali balowej było już gwarno i ochoczo. Przetańczono walca, polkę i teraz pary stawały do kadryla, do którego znak dała już muzyka. Julia stała także w szeregu z baronem. Baronek był świeżutki, czyściutki, elegancki, jakby co dopiero z pudełka wyjęty; we fraku wyglądał jak konik polny skaczący, czuł się w swoim żywiole i dlatego był niezmiernie kontent i ożywiony. On prowadził kadryla; dlatego od czasu do czasu dla ustawiania par odbiegał na chwilę od swej tancerki, biegał na jedną i na drugą stronę ślizgając się zręcznie po gładkiej posadzce. Julia stała tymczasem spokojna, zapinając najobojętniej ostatnie guziczki u rękawiczek. Miała suknię blado różową ubieraną koronkami z długim ogonem a wyciętą tak nisko, że zdawało się, iż ktoś nastąpiwszy jej na ogon ściągnął suknię z ramion. Przez to uwydatniał się jeszcze więcej jej alabastrowy, pełny, ponętny biust. Kiedy indziej widok taki byłby może niemiłe wrażenie zrobił na Janie, dziś to obnażenie powabów miało dla niego jakiś dziwnie kuszący urok, pożądliwem okiem ogarniał wdzięczną postać Julii. Stanął vis à vis niej i ukłonił się; ale zapewne nie spostrzegła tego, bo nie udarowała go ani jednem spojrzeniem. Powtórzył ukłon parę razy już w czasie rozpoczęcia tańca, ale napróżno. Przechodziła koło niego tak blisko kilka razy, że ogon jej sukni owijał się niby wąż koło nóg jego, że czuł zapach jej koronkowej chusteczki; jednak zdawała się go nie widzieć, choć magnetyzował ją przenikliwem spojrzeniem, nie spuszczając z niej oczów. Rad nie rad musiał czekać z powitaniem aż do ukończenia kadryla. Wśród tańca baron spostrzegł go i przechodząc koło niego, ścisnął go za rękę uradowany i szepnął w przelocie:

— Wybornie idzie, panna już, jakby moją.

Jan uśmiechnął się z politowaniem na to zapewnienie krótko widzącego barona. Znał on trochę lepiej Julię i wiedział jak można się było złudzić oznakami jej sympatyi. Przewidywał już z góry, jakiego rozczarowania dozna biedny baronek, gdy się przekona, że to co brał za szczere złoto, pokaże się tylko błyszczącą, fałszywą blaszką. Jan nie łudził się pod tym względem i trzeźwo oceniał postępowanie Julii, a jednak zdawało mu się, że jeżeli kto, to on miałby prawo być więcej zarozumiałym od innych, bo taką, jaką Julia bywała dla niego, nie była dla nikogo nigdy. Nie posądzał, żeby to była miłość, ale zawsze coś, co mogło się nazywać choć doskonałą immitacyą miłości. Nawet teraz po tej niegrzeczności, jaka go od niej spotkała, jeszcze nie pozbył się tych złudzeń. Zdawało mu się, że pozyskał sobie już taką nad nią władzę, że skoro się tylko zbliży do niej, rozmówi, wnet zniknie nieporozumienie, które ich rozdzieliło chwilowo i wróci do dawnego z nią stosunku. Był tak pewny tego, że kiedy Julia w czasie tańca nie patrząc w stronę, gdzie on stał, posyłała wzrok w różne strony sali, był przekonany, że jego upatruje między tańczącymi.

To też ledwie kadryl się ukończył pospieszył co prędzej w stronę, gdzie baron odprowadził Julią. Zastanowiło go to trochę, że kiedy się zbliżał w to miejsce, matka Julii, która tam siedziała spostrzegłszy go zrobiła bardzo sztywną minę i odwróciła się w inną stronę. Nie miał jednak czasu długo myśleć o tem, bo właśnie baron ukłoniwszy się odszedł i Julia była samą. Korzystając z tego, prędko zbliżył się do niej i z uśmiechem rzekł:

— Dobry wieczór. Przypominam pani, że tańczymy pierwszego mazura.

— My? — spytała wyniośle mierząc go dumnem, chłodnem spojrzeniem nie przyjmując ręki, którą jej podawał na powitanie. — Musiałeś się pan pomylić, bo ja tańczę tego mazura z panem Adolfem.

Odwróciła się od niego, dając mu tem poznać dość wyraźnie, że uważała tę rozmowę za skończoną i rzekła do matki:

— Mamo! — może przejdziemy się po sali.

Wzięła ją pod rękę i poszły, nie racząc nawet spojrzeć na Jana. On stał cały jak w ogniu, wzburzony i nieprzytomny. Pulsa jak młoty uderzały w nim i czuł okropny chaos, zamęt w głowie. Najsprzeczniejsze uczucia, zdziwienia, oburzenia, upokorzenia, wście-

kłości, żalu i rozpaczy zerwały się gwałtowne, szalone i uderzyły na mózg, sprawiając tam ból niesłychany. W oczach aż pociemniało a cała sala balowa z tłumem, który ją zapełniał, zdawała się kołysać jak pokład okrętu i on z nimi. Musiał aż oprzeć się o ścianę, aby nie upaść.

Kiedy pierwsze gwałtowne wrażenie przeminęło, Jan powziął nagle śmiałe postanowienie rozmówienia się koniecznie z Julią, choćby wbrew jej woli i żądać wytłomaczenia. Był zdecydowany na wszystko, nawet na skompromitowanie ją publicznie, gdyby się pokazało że bez powodu, ale poprostu dla jakiegoś kaprysu tak się z nim obeszła. Obrażona miłość własna domagała się zadosyćuczynienia, nie mógł pozwolić, aby bezkarnie bawiono się nim jak piłką, którą się łapie lub odrzuca wedle woli. Należało zdemaskować lekkomyślną zalotnicę i ukarać ją. (C. d. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

Dra Józefa Rosenblatta.

II.

(*Pogląd historyczny na początek i rozwój pojedynków. Historya pojedynku we Francyi.*)

(*Ciąg dalszy*).

Powiedzieliśmy, że pojedynek zrozumieć możemy jedynie na podstawie jego historyi. Przystępujemy tedy do skreślenia poglądu historycznego na początek i rozwój pojedynków.

W starożytności pojedynki w dzisiejszem tego słowa rozumieniu znane nie były. Achill Homera, obrażony przez zabranie sobie branki Chryzeidy, nie myśli wcale o wyzwaniu Agamemnona na pojedynek, lecz gniewny zamyka się w swym namiocie i nie bierze dalszego udziału w walce. Wyzwany na pojedynek przez dowódzcę Teutonów Marius odpowiada mu, ażeby się na najbliższem drzewie obwiesił, jeśli mu się życie sprzykrzyło.

Ani w greckiej, ani w rzymskiej historyi nie znajdujemy żadnego zgoła przykładu, ażeby obrażony uciekał się do broni dla pomszczenia zniewagi, ażeby wyzywał obrażającego na pojedynek, ażeby w krwi jego szukał zadośćuczynienia. Nie zna też język grecki ani rzymskie słowa, któreby odpowiadało naszemu pojęciu pojedynku; słowo „duellum,“ które znachodzi się u niektórych autorów łacińskich, znaczy tyle co „bellum“ — wojna; w tem też znaczeniu używa go Horacy mówiąc o Auguście: „tua Caesar aetas vacuum duellis Janum Quirini clausit;“ podobnież używa Plautus słowa „Quellatores“ w znaczeniu wojujących, „ars duellica“ w znaczeniu sztuki wojennej itd. Rzymianie przez „duellum“ rozumieli walkę dwóch narodów; walki samowtór dla pomszczenia krzywdy na honorze nie znali; samowtór pasowali się tylko niewolnicy (gladyatorowie); człowiek wolny miał inny sposób satysfakcyi, wyrok pretora, który obrażającego czynił człowiekiem bez czci (infamis); „point d' honneur,“ wymagające pojedynku dla satysfakcyi honoru, ludom starożytnym było obce.

Początku pojedynków szukać należy u ludów germańskich, o których już Tacyt powiada, że każdy spór zwyczajni byli rozstrzygnąć bronią („soliti armis discernere“); w szczególności zaś szukać należy początku pojedynków w germańskiem prawie zemsty i w najazdach germańskich (Fehden und Fehderecht) z jednej strony, z drugiej zaś strony w tak zwanych sądach bożych, a mianowicie w pojedynku sądowym. Obie te instytucye wypada nam tu w kilku słowach omówić. Co Tacyt powiada o Germanach swego czasu, to stosuje się również do ich potomków. Każde przestępstwo, nie zagodzone przez przestępcę w porozumieniu z pokrzywdzonym, wywoływało wojnę domową między rodziną zabitego lub w ogólności pokrzywdzonego a rodziną przestępcy. Obrażony miał według pojęć germańskich prawo najechać obrażającego, a ten miał prawo bronić się przeciw najazdowi, a ztąd walka jako środek pomszczenia krzywd. Co się tyczy w szczególności pojedynku za obrazę czci, podaje nam *Wilda* w słynnem swem dziele o prawie karnem germańskiem (Strafrecht der Germanen) ciekawy wyjątek z starego północno-germańskiego prawa, tyczący się naszego przedmiotu, treści następującej: „jeśli kto — powiada rzeczone prawo — wyrządzi drugiemu krzywdę mówiąc mu, że nie jest mężnym i nie ma serca (odwagi), a ten odpowie: „jestem mężnym tak jak ty,“ natenczas mają spotkać się na miejscu, gdzie trzy krzyżują się drogi. Jeśli stawi się ten, który słowo obraźliwe wyrzekł, a nie stanie ten, na którego było wyrzeczone, natenczas niechaj uchodzi za takiego, jakim go przezwano, i nie będzie mógł przysięgać ani świadczyć. Jeśli stawi się ten, na którego obrazę rzucono, a nie stanie ten, który ją wyrzekł, natenczas ma stawający zawołać po trzykroć: „niding“ i znak w ziemi uczynić, a obrażający uchodzić będzie za człowieka bez czci, który nie śmie stwierdzić tego, co rzekł. Jeśli stawią się obydwaj w pełnej zbroi, a polegnie obrażony, połowa tylko za niego zapłaconą będzie; jeśli zaś polegnie obrażający, to zginął wskutek języka swego; niepomszczony niechaj leży, gdzie poległ.“

Widzimy zatem już w najdawniejszych zabytkach prawodawstwa germańskiego pojedynek honorowy z wszelkiemi onego zasadami, przez prawo nietylko dozwolony, ale nakazany.

Drugiem źródłem i prototypem pojedynku dzisiejszego są pojedynki sądowe jako t. z. sądy boże. Nie mając, a raczej nie znając innego środka dojścia prawdy w oskarżeniach o czyny zbrodnicze, narody germańskie poruczały rozstrzygnienie bogu — sądowi bożemu; oskarżony musiał oczyścić się przed zarzutem przestępstwa w próbie wody zimnej, ukropu, rozpalonego żelaza itd. Gdy próby te okazały się z czasem niedostateczne i wątpliwe, zaprowadzono przysięgę, którą się oskarżony w braku innych dowodów, od wszelkiej winy mógł odprzysiądz, i walkę sądową między oskarżającym a oskarżonym, mającą wykazać po czyjej stronie jest słuszność, a po czyjej wina. Jednego i drugiego z tych środków dowodowych jednak nadużywano; żaden nie dawał dostatecznej rękojmi wykrycia prawdy, dla tego też widzimy, że dowód z przysięgi (oczyszczającej) i pojedynek sądowy nawzajem się odmieniają i zastępują; jeśli się przysięga okazała niedostateczną, bo nadużywaną, uciekano się do pojedynku; kiedy pojedynki zaczęły się zbyt szerzyć, a tem samem stały się dowodem wątpliwym, wracano do przysięgi, chociaż byli i tacy, którzy ani w jeden, ani w drugi środek dowodowy nie wierzyli, a zatrzymali je tylko z powodu ich powszechnego uznania; tak np. godne są uwagi słowa longobardzkiego króla Rotharisa, który powiada, iż ze względu na zwyczaje narodu longobardzkiego nie może wprawdzie znieść sądów bożych („propter consuetudinem gentis nostrae Longobardorum legem impiam vetare non possumus“), lecz chce przynajmniej złagodzić karę pokonanego w pojedynku sądowym, ponieważ co do wartości tego pojedynku ma pewne wątpliwości („quia incerti sumus de judicis Dei et multos audivimus per pugnam sine justa causa, suam causam perdere.“)

Ale zadziwiającą jest rzeczą widzieć, jak ludzie nawet przesądom swym nadawają pewne prawidła i zasady, jak przywiązują do pojedynku sądowego pewne formy, z których wyrabiają się powoli zasady tak zwanego „point d'honneur,“ i za których wpływem pojedynek sądowy przeobraża się z biegiem czasu w pojedynek honorowy. I tak znajdujemy w dawnych ustawodawstwach germańskich (leges barbarorum) następujące prawidła tyczące się pojedynku sądowego: szlachta między sobą spotyka się konno i bronią; lud (vulgus t. j. niewolni) bije się pieszo i kijami, ztąd poszło, że uderzenie kijem uważane było za obrazę, bo uderzając szlachcica kijem wypowiadano, że się go za szlachcica nie uznaje, lecz za człowieka niewolnego uważa. Podobnież gmin tylko bił się twarzą odsłoniętą, szlachta przeciwnie w przyłbicach, zaczem tylko nie-szlachcic mógł być ugodzonym w twarz, zkąd znów poszło, że uderzenie w twarz stało się obrazą śmiertelną, gdyż uderzając szlachcica w twarz wypowiadano, że się go za szlachcica nie uznaje, lecz uważa za pochodzącego z gminu. Pewne osoby nie mogły wcale staczać pojedynku sądowego, np. przestępcy skazani na karę śmierci (bo nic by nie mieli do stracenia podejmując się pojedynku); inne znów nie mogły staczać go osobiście, lecz staczały go w ich zastępstwie osoby trzecie, tak zwani szampierze („champion,“) który to wyraz *Czacki* tłumaczy przez „szampierze“), do tych należały mianowicie kobiety, za które pojedynek staczali szampierze, a ztąd się wzięło, że przez słowo „champion,“ rozumiemy obrońców płci pięknej.

Pojedynek sądowy odbywał się zazwyczaj w ten sposób, iż oskarżyciel występował przed sędzią z oskarżeniem; oskarżony przeczył oskarżeniu, zarzucając oskarżycielowi, że kłamie; wtedy oskarżyciel wyzwał go wobec sędziego na pojedynek, a sędzia na pojedynek zezwalał i takowy zarządzał. Za powód bezpośredni pojedynku uważano jednak nie tak oskarżenie po stronie wyzywającego, jak raczej zarzut kłamstwa uczyniony oskarżającemu przez oskarżonego i dla tego wyzywającym nie był oskarżony, jakby właściwie być powinno, lecz obrażony zarzutem kłamstwa oskarżyciel, ztąd poszło, że zarzut kłamstwa (démenti) był uważany za obrazę, sprowadzającą pojedynek i ztąd również się wzięło później, że chcący mieć wybór broni nie wyzywał drugiego, lecz zarzucając mu kłamstwo zmuszał go do wyzwania. Jeśli kto oświadczył raz przed sędzią, że pojedynek przyjmuje, nie mógł się więcej cofnąć; jeśli się od pojedynku usunął, płacił karę; ztąd poszedł przesąd, że honor nie pozwala się cofnąć, jeśli kto zobowiązał się słowem.

Co do zwyczajów i obyczajów przestrzeganych w pojedynku sądowym, zauważyć tu jeszcze muszę o formach następujących: jeśli pojedynek nie staczały strony same, lecz za nie osoby trzecie (champion), a rozchodziło się o zbrodnię za-

*

grożoną karą śmierci, natenczas zamykano oskarżyciela i oskarżonego (strony główne) w miejscu, zkąd pojedynkujących się widzieć nie mogli i wdziano każdej powróz, którym wykonano natychmiast egzekucyą (na szubienicy) na tej osobie, której „champion“ w pojedynku uległ; pokonanemu szermierzowi zaś łamano palec u ręki prawej dla tego, ażeby nie dał się pokonać umyślnie.

Pojedynek sądowy rozpowszechnił się tak bardzo, że dla lada jakiego powodu, w najdrobniejszym sporze uciekano się do pojedynku; pojedynek dopuszczalnym był nie tylko w oskarżeniach o zbrodnię, w ogólności w sprawach karnych, ale i w sprawach cywilnych, wierzyciel musiał się bić z dłużnikiem chcąc otrzymać swą należytość! a nawet w sprawach publicznych i w sporach religijnych, w których ustanawiano szermierzy mających stwierdzić pojedynkiem prawdę i wykazać, po której stronie jest zdanie słuszne. Co więcej pojedynkował się nietylko oskarżyciel z oskarżonym, ale pojedynkowano się z świadkami przeciwnika, którym fałsz zarzucano; wyzywano nawet sędziów na pojedynek, ażeby ich przekonać, że fałszywy wydali wyrok (był to środek apelacyi od sądu ludzkiego do sądu bożego!), słowem pojedynek był powszechnym środkiem zagodzenia wszelkich sporów, a przekonamy się później, jak się toż samo powtórzyło u ludów cywilizowanych w czasie o wiele późniejszym, wprawdzie nie we formie prawem sankcyonowanego pojedynku sądowego, ale we formie bardziej niebezpiecznego pojedynku „honorowego.“

Pierwszą ustawą, która w drodze prawodawczej pojedynek sądowy uznaje i dopuszcza, była ustawa burgundzka króla Gondobada z r. 501, za której wzorem przyjęły go niebawem prawa Alemanów, Bawarów, Longobardów itd. Z początku ograniczano wprawdzie pojedynek do przypadków cięższych, w których zwyczajne środki dowodowe nie były wystarczające; niezadługo jednak granica ta odpadła, a prawo longobardzkie było pierwszem, które dopuściło pojedynku dla pomszczenia krzywdy na honorze, jeśli obrażający słowa obraźliwego cofnąć nie chciał. Ciekawy ten ustęp prawa longobardzkiego powiada: „jeśli kto nazwie drugiego w gniewie łajdakiem (nicponiem—„arga“ wyraz longobardzki), lecz przyzna, że to uczynił w gniewie, natenczas ma oświadczyć pod przysięgą, że go jako nicponia nie poznał i ma zapłacić za to słowo obraźliwe solidów 12. Jeśliby zaś przy wypowiedzianem słowie obstawał i oświadczył, że stwierdzić je może pojedynkiem, natenczas ma go pokonać, jeśli będzie w stanie, lub z pewnością karę zapłacić.“

Pierwszy raz w historyi widzimy tu pojedynek, spowodowany obrazą honoru mający stwierdzić obrazę lub wykazać jej nieprawdziwość.

Tak miała się rzecz z pojedynkiem sądowym aż do czasów Karola Wielkiego. Od wieku IX. począwszy, t. j. od czasu, kiedy się państwo Karolowe zaczęło za jego następców na tyle odrębnych państw rozpadać, pojedynek inny wziął obrót we Francyi, a inny u innych narodów. We Francyi mianowicie szerzył się pojedynek coraz więcej, aczkolwiek nie we formie pojedynku sądowego, ale w formie walk prywatnych panów francuskich; tu mianowicie przeobraził się pojedynek sądowy w pojedynek honorowy, tu też kolebka pojedynku dzisiejszego, dla tego też historya pojedynku we Francyi na szczególną zasługuje uwagę, i oną przedewszystkiem skreślić nam wypada.

(C. d. n.)

RUTEŃCY

TYPY I PORTRETY GALICYJSKICH „LUDZI“.

Przedmowa

Rozprawiać o ważności t. zw. „ruskiego pytania“ dla spraw galicyjskich, szczególniej wobec teraźniejszych stosunków — rzecz, myślę nie prowadząca do żadnego rezultatu. Ważniejszem daleko jest zbieranie materyału dla dokładnego poznania tej sprawy i ostatecznego jej załatwienia. To właśnie jest moim celem.

Żyjąc długie lata wśród różnorodnych partyi i odcieni ruskich, miałem sposobność badać dokładniej, niż kto inny, tę gmatwaninę niekonsekwencyi, urojeń, nieporozumień i po prostu nierozumień, pośród której żyje, działa i obraca się „człowiek z ruskiej inteligencyi“. Długie lata pilnej obserwacyi (rozumie się, nie bez licznych rozczarowań i pomyłek z mojej strony) dozwoliły mi wreszcie przejrzeć gęstą mgłę, którą okryta jest zewnętrzna postać tych ludzi, przejrzeć ich rozmaite zabarwienia stosownie do partyi, odcieni i niby przekonań, i jasno pojąć ten wspólny im wszystkim rdzeń, to istotne tło ich charakterów, które pozostają niezmienne pomimo partyi, odcieni, politycznych przekonań, częstokroć nawet pomimo większego stosunkowo wykształcenia.

Rdzeń ten, to zarazem zaród nowego społecznego typu, dotychczas jeszcze nie uformowanego ostatecznie, ale pomimo to dającego aż nadto wyraźnie znać o swojem powstaniu pośród galicyjskiej inteligencyi ruskiej, typu znanego pod techniczną nazwą „Ruteńca“.

Co jest Ruteniec i w jakiem znaczeniu zasługuje on na nazwę współczesnego typu społecznego? W życiu wewnętrznem ruskiej inteligencyi ostatniemi laty, powoli, lecz bardzo wyraźnie odbywa się wielki przewrót. Prądy zachodnio-europejskiego życia napływają coraz obficiej do nas i zabarwiają wszystko po swojemu. Prawda, dotychczas stosunkowo mniej ich wpłynęło do Galicyi, niż gdzieindziej, dla tego też i działanie ich nie zdołało się upostaciować jasno i wyraźnie, nie utworzyło jeszcze wybitnego typu. Niewybitność, niewykończoność i połowiczność typów, oto główna cecha obecnej fazy rozwoju inteligencyi ruskiej, oto zarazem główna przeszkoda dla postronnego badacza do poznania prawdziwego charakteru tego rozwoju. Jaki kwiat wyrośnie z tego zarodka, przewidzieć nie trudno: cały zachód Europy obficie pokryty tym kwiatem! „Ruteńcy“ galicyjscy, to proszę zauważyć, nie jest żadna etnograficzna ani historyczna, ale czysto techniczna nazwa. Oznacza ona zbiór pewnych cech charakterystycznych i jako taka jest właściwie terminem ogólnym, psychologicznym. Istotą jej są, zdaniem mojem, *instynkty burżoazskie* (mieszczańskie). Typ burżoa, panujący wśród zachodnio-europejskiej inteligencyi, nie wydoskonalił się jeszcze pośród inteligencyi galicyjskiej, nie zapanował dumnie i samowiednie, ale przymioty, cechujące burżoa, już są, acz rozrzucone, i rozrastają się coraz to potężniej. Indywidua, właściciele tych przymiotów, nie znają ich istoty, chociaż noszą je niejako na sobie Indywidua te nie kryją się mniej więcej ze swymi instynktami, chociaż nie mają jeszcze odwagi posuwać ich do ostateczności. Oto istota „ruteństwa“. Ruteństwo zatem, typ przejściowy i znamionuje epokę rozkładu i przewrotu społecznego. Przejawia się ono w tysiącznych postaciach, zmodulowane wedle rozmaitych temperamentów i stopni wykształcenia, a przecież nigdy nie zmienia swej istoty. Zresztą w podanych niżej szkicach uważny czytelnik będzie mógł widzieć rozmaite jego objawy i z tego, acz szczupłego materyału, zestawić w swej wyobraźni zarys ogólnego typu, który w ruskiem społeczeństwie czeka jeszcze swego ostatecznego ukształtowania, który atoli musi niezadługo powstać siłą konieczności historyczno-społecznego rozwoju. Czy długie będzie jego panowanie i jak się ono skończy, to znowu inne pytanie.

I.

Młoda Ruś.

Przyjaciele moi młodzi, piękni jak wiosna, jak rodzeństwo serdeczni! Za kratą więzienną, pośród chłodu, wilgoci i tęsknicy, podczas ciemnych, bezsennych nocy stają przedemną wasze twarze, to zdrowiem i radością kwitnące, to wychudzone i zessane pracą, niedostatkiem i przedwczesną zgryzotą. Patrzę na te drogie twarze i po cichu napełnia mą duszę, a w sercu rośnie nadzieja, że wam lżej będzie stąpać tą drogą, na której stanęliśmy, parci wspólną myślą i twardą wiarą!

Nie dziw mi wcale, że między wami nie widzę niektórych z moich najdawniejszych znajomych, tych, którzy byli towarzyszami i przyjaciółmi mego dzieciństwa. Gdzież to, gdzie rozpełzli się oni! Jakiś straszny wir pochłonął ich, a w moich snach więziennych nie ma miejsca dla topielców. Tak, oni potonęli bezpowrotnie w tem bagnie, które tak trafnie nazwano „ruteńską bezmyślnością“. Wspomnę tylko o jednym z nich, a starczy za wszystkich. Było to w jesieni 1875 r., kiedy przybywszy pierwszy raz do Lwowa, pełen małomiejskich fantazyi i małomiejskiej sentymentalności, zamierzyłem bezzwłocznie poodwiedzać moich znajomych, którzy dotychczas przebywali we Lwowie. A przebywał tu między innymi Michał Z., mój szkolny towarzysz jeszcze z normałek. Był on tak jak i ja chłopskim synem, w szkole długi czas siedzieliśmy obok siebie, pomagaliśmy sobie w nauce, włóczyliśmy się codziennie obydwa po ulicach, jednem słowem, byliśmy przyjaciółmi, o ile tylko to słowo da się zastosować do takich dzieciaków, jakimi byliśmy naówczas Lecz już przeszło od 8 lat nie widziałem Michasia. On przez protekcyą jakiegoś księdza krewnego dostał się do bursy „Narodnego Domu“, i uczęszczał teraz do ósmej klasy niemieckiego gimnazyum, straciwszy jeden rok z powodu słabości.

Wtenczas już, kiedyśmy dziećmi jeszcze siedzieli na szkolnej ławie, zauważyłem główne oznaki natury Michasia i być może, że one to właśnie tak silnie pociągały mnie ku niemu. W jego układzie, głosie i ruchach przebijała się przedewszystkiem jakaś kobieca miękkość i łagodność. Wrażenie tej miękkości, tego słodkiego, ciągle nieco przyciszonego głosu, szczerego, chociaż nigdy nie nadto głośnego śmiechu, przeżyło w mej pamięci całą górę wrażeń nazbieranych przez 8 lat, i ciągle jeszcze wspomnienie o Michasiu łączyło się z wspomnieniem tych zasa

dniczych cech jego temperamentu. Nigdy nie mogłem przedstawić go sobie rozgorączkowanego czemkolwiek, krzyczącego, dysputującego, rzucającego się na wszystkie strony, wogóle nie mogłem w żaden sposób odnieść do niego tych własności, któremi na szczęście czy nieszczęście aż nadto szczodrze obdarzyła mnie przyroda. Lecz taki przeciąg czasu, jak 8 lat, w towarzystwie innych niemniej ważnych działaczów (szkolnego wykształcenia, życia w bursie i tp.) musiały przecież wywołać ogromne zmiany w usposobieniu Michasia, musiały w pewnym kierunku rozwinąć jego charakter, wyrobić pojęcia, słowem, ulać w pewną formę jego temperament, zrobić z niego człowieka zupełnie nowego dla mnie, który nie widziałem jego powolnej, nieznacznej genezy. Przedstawiała mi się więc wyborna okoliczność, poznać w zupełnym rezultacie wszystkie te różnorodne wpływy i zarazem odgraniczyć dokładnie nowo utworzone warstwy od pierwotnego gruntu. Zrozumiałą więc będzie ta niecierpliwość, z jaką oczekiwałem spotkania z Michasiem.

Było to jakoś w niedzielę przed południem, kiedy po raz pierwszy ujrzałem go we Lwowie, idącego z kilku kolegami ulicą ku „Narodnemu Domowi". Poznałem go od razu. Dziwna rzecz, Michaś z powierzchowności nie zmienił się prawie ani na kroplę! Ta sama okrągława, gładka twarz, prawie dziecięca, te same oczy matowe, troszkę wilgotne, wyglądające niby z za mgły, ten sam uśmiech cichy, ten sam głos łagodny, te same ruchy powolne, miękkie, kobiece. We wszystkich szczegółach poznawałem dawnego Michasia, chociaż ten, co teraz szedł obok mnie, był już nie dzieckiem, ale dorosłym młodzieńcem, z pretensyą do dojrzałości, wykształcenia, inteligencyi i kto wie, może nawet do przekonań.

I Michaś poznał mię także od pierwszego razu, i uśmiechając podał mi rękę. Przywitaliśmy się.

— Jakże ci się tu powodzi, jak żyjesz? — spytałem.

— Dobrze, dobrze! Ot, jak to u nas w bursie — odpowiedział Michaś, kiwając głową.—Jeszcze by lepiej było, gdyby wikt był lepszy...

— A jużciż — przerwałem mu, — tu u was w bursie musi być nieźle, tyle młodych ludzi, przyjaciół, kolegów — wesoło, nie ma co mówić!

Bursacy, którzy szli z Michasiem, spojrzeli po sobie i zaczęli się uśmiechać szyderczo, chociaż ja nie pojmowałem, z czego właściwie. I Michaś uśmiechnął się jakoś dziwnie.

— No, żeby tak arcy-wesoło — to tego nie powiem, ale zawsze... ot! Zresztą chodź z nami zobaczysz sam naszą bursę. Tylko to źle, że jak przyjdzie obiad, to ci szturkanie, bójki, jeden rwie się przed drugim, nawet zjeść spokojnie nie można!

— A jakże tam wasze gimnazyum? Profesorów musicie tu mieć dobrych, rozumie się!

— Ta dla czego by nie — odpowiedział Michaś jakoś niechętnie — profesorowie ujdą, żeby tak bardzo wymagali, to nie, nauczy się człowiek na pamięć lekcyi słowo w słowo, taj po wszystkiem. Tylko bieda, że jak nieraz się jeść chce, to i nauka do głowy nie idzie!

— To cóż u was tak mało jeść dają — spytałem, zdziwiony i niemile dotknięty tym wiecznym refrenem w mowie Michasia o jedzeniu, głodzie, obiadach... Przytem spojrzałem uważnie na jego twarz i na twarze jego kolegów, i jeszcze bardziej byłem zdziwiony, nie znalazłszy na tych rumianych, zdrowych, nawet nieco odętych twarzach ani śladu jakiegokolwiek niedostatku lub głodu.

— A ty sobie myślisz, że nas karmią! — zawołał nieco żywszym tonem Michaś, oblizując usta. — Oj, karmić nie karmią, a dają tyle, ot, aby człowiek z głodu nie umarł. A tu jeszcze codzień spiew cerkiewny, to się człowiek wykrzyczy i już głodny.

I znowu „głód", „głodny", „karmią"! Boże, cóż to wreszcie wszystko znaczy! Czyż ten człowiek nie ma żadnego przedmiotu więcej zajmującego, bliższego sercu nad jedzenie? Myśl ta mimowoli przesunęła się po mojej głowie. Poczułem coś nakształt głuchego bolu rozczarowania. Ale przecież spróbuję z innej beczki! pomyślałem sobie i wypaliłem na chybił-trafił:

— A, słyszałem, że tu u was jakieś borby, spory... Co to takiego? Rozpowiedz no mi na rozum:

— Borby? — odrzekł zdziwiony Michaś. A to jakie? E, — dodał po chwili namysłu,—to ty pewnie o tych ukraińczykach mówisz, cośmy tu z nimi mieli przeprawę?

— No, jużci, że o nich — odpowiedziałem, kryjąc swą radość, że mi się udało natrafić na to, czegom szukał.

— Ta co — borby tu żadnej nie było — a tylko całkiem po prostu poskarżyliśmy się p. nadzorcy, ten doniósł „Sowitowi" (radzie zawiadowczej), no i naszych „parobków" wypędzili na cztery wiatry!

— Jakto, jakto? — zapytałem zdziwiony taką niespodzianką. — Wypędzili? A za co?

— Za ukrainofilstwo! — odrzekł Michaś takim pewnym i spokojnym głosem, jak gdyby wypowiadał rzecz, która się rozumie sama przez się, jak gdyby ukrainofilstwo była jakaś ciężka zbrodnia, za którą jeszcze najmniejsza kara — wypędzenie z bursy na cztery wiatry.

— Za ukrainofilstwo! — zawołałem, udając naiwnego. — A cóż to jest to ukrainofilstwo?

— To ty tego nie wiesz? — zapytał Michaś tonem pewnej wyższości. — No, widać, że przychodzisz z jakiegoś chińskiego zakątka! Ukrainofilstwo, nieboże, to taka choroba, że ludzie nią zarażeni, zapominają mówić po ludzku, a zaczynają „bazikać", to jest niby gadać po chłopsku, a mięciutko, i to nazywają „naśkim ukraińskim językiem".

— No, ale cóż w tem takiego złego — że za to aż wypędzają z bursy?

— Już to musi być coś złego, kiedy ich wypędzili — odrzekł Michaś, zakłopotany nieco tem pytaniem. — U nas ich było czterech, to ci z nimi heca była! Cała bursa na każdym kroku krzyczała za nimi: parobki, bazikańniaczko, a co im figlów napłatano, to istotnie, pękać było nieraz ze śmiechu. Ale to wszystko byłoby jeszcze nic, ale ot raz pan nadzorca złapał jednego, że czytał jakiegoś Darwina czy coś tam. Zaraz zaczęto robić u nich rewizye i poznajdowano ci rozmaite takie bezbożne książki, że nam pan dozorca nawet pokazać ich nie chciał. I za to ich powypędzano.

Słuchałem tego opowiadania i uszom własnym nie chciałem wierzyć. Jakto, więc tak nisko stoi tu jeszcze poziom naukowych pojęć! Zaiste, w głuchem, prowincyonalnem miasteczku, zkądem przyjechał, młodzież gimnazyalna przecież daleko zdrowsze miała poglądy! Jakie tu musi być wychowanie, jacy nadzorcy, jacy przewodnicy tej młodzieży, jeżeli potrafią trzymać myśl na tak wysokim stopniu dziecięcej nieświadomości!

Tymczasem weszliśmy już do gmachu Narodnego Domu i przez ciasne, brudne i rozmaitemi rupieciami zawalone podwórze zmierzaliśmy na korytarz, gdzie właśnie z książkami w ręku, przechadzali się gromadnie bursacy. Zdaleka już słychać było głuchy huk, jak gdyby z olbrzymiego wychodzący ula: to przyszłe „podpory Rusi" bębniły łacińskie konjugacye, tłumaczenia Liviusza, lub podyktowane przez pana profesora objaśnienia do „Herrman und Dorothea." A pomimo takiego naukowego zajęcia, jakiż wyraz serdecznej głupoty, bezmyślności i tępego uporu przebijał się na wszystkich tych twarzach odętych, niechętnych, uważających naukę za katorgę, za męczarnię, wymyślaną tylko na utrapienie rodzaju ludzkiego!

Lecz gdyśmy weszli pomiędzy nich, scena nieco się zmieniła. Większa część bursaków oderwała oczy od książek, przypatrując się mnie, cała hurma obstąpiła nas, przysłuchując się naszej rozmowie, dodając niekiedy swoje uwagi lub wybuchając głośnym śmiechem. Nie wiem już, o czem tam mówili z Michasiem, stojąc przy oknie. Ja miałem w ręku książkę Darwina „O pochodzeniu rodzajów," którą położyłem na przymurek. W tem nagle słyszę za sobą głośny okrzyk: „Tfu!" Obracam się zdziwiony i widzę, jak jeden ze starszych bursaków otworzył moją książkę i zobaczywszy tytuł jej, wpadł w takie oburzenie. W tej chwili kilku innych zajrzało też do książki, jedni z wyrazem ciekawości, inni wstrętu lub obawy.

— Co ty, co ty? — zwrócili się oni do Michasia — jak ty z takim człowiekiem przestajesz?

— Ta to jakiś bezbożnik! — huknęło kilku tuż koło mnie.

— Darwinista!

— Nihilista!

— Anathema sit!

Głosy oburzenia i nie bardzo pochlebne uwagi huczały w powietrzu, jak bomby, sypiąc się na moją głowę. Na całym kurytarzu powstał ogromny zgiełk, krzyk i huk, jak gdyby całej bursie groziło jakie straszne niebezpieczeństwo. Pośród tej nagłej i niespodziewanej burzy stałem jak osądzony, nie wiedząc co począć. Spojrzałem na Michasia: on odstąpił odemnie, twarz jego nieco zbladła, chociaż ciągle jeszcze uśmiechała się jakoś machinalnie, bezwiednie. Kilku małych bursaków przybiegło z drugiego końca korytarza, aby widzieć strasznego Darwinistę, a zobaczywszy mię przeżegnali się i poszli nazad do swoich kątów. Mnie kręciło się w głowie, nie mogłem z podziwu słowa wyrzec.

Lecz zanim się zdołałem zmiarkować, zaszedł inny, niemniej dziwny wypadek. Krzyk na kurytarzu wywołał pana nadzorcę z kancelaryi. Pan nadzorca, człowiek nizki, gruby, ze szklannemi, idyotycznie nieżywemi oczyma i z twarzą na pół mongolską, na pół małpią, w jednej chwili swojem pojawieniem rzucił na bursaków powszechną panikę.

Wszystko umilkło, a najzawziętsi krzykacze stali teraz pokornie, jak cielątka.

— Cztoż — odezwał się majestatycznie pan dozorca — linowstwujete sebi? (próżnujecie sobie?)

Grobowe milczenie na całym kurytarzu.

— No, no, ne linowstwujte — ozwał się on, widocznie udobruchany tą niemą pokorą swego

„stada“ — ne linowstwujte! Nyni, rady praznyka, na obid budet kołbasa! (Dziś, z powodu święta, będzie kiełbasa na obiad.)

I wyrzekłszy to, wrócił nazad do swego sancta sanctorum.

— Hurra, mnohaja lita, hurra! — zakrzyczeli uradowani bursacy. — Kołbasa, kołbasa na obid!

Jak burza, poleciała radośna wieść po korytarzu. Powtarzali ją z roskoszą wszyscy od wielkich, ośmioklasistów, do malców, bębniących po kątach „alanda, alandae, alanda.“ I nie czekając już dłużej, tłumem rzucili się wszyscy na dół, gdzie była jadalnia bursy, ażeby tam przybyć zawczasu i urwać jak największy kawałek. Z innymi pobiegł i Michaś, rad, że się pozbył mego towarzystwa. Magiczne słowo: „kiełbasa“ dokonało w jednej chwili ogromnego przewrotu w usposobieniu tych wiele obiecujących młodzieńców.

Zostawszy sam na kurytarzu mimowoli począłem się zastanawiać, zkąd u tych ludzi, widocznie wcale nie wygłodzonych, taki zwierzęcy apetyt? Lecz daremne były moje zaciekania. „Kiełbasa, kiełbasa na obiad!“ oto był ciągły refren, mięszający moje myśli, i ta kiełbasa do dziś dnia silnie zrosła się u mnie z pojęciem „młodej, bursackiej Rusi.“

Od tego pierwszego spotkania nie widziałem się już nigdy z Michasiem, i prawdę mówiąc, nawet ochota mi odeszła widywać się z nim. Dopiero po roku przeszło, przy sposobności tutejszych lwowskich „rozruchów i burz“ ujrzałem w policyi protokół Michasia, który świadczył przeciwko mnie, że jeszcze niby przed rokiem „usiłowałem jego i drugich bursaków nakłaniać do rewolucyjnych konspiracyj.“ Jakie to były konspiracye, jaki był ich cel i jacy uczestnicy, świadek nie wiedział, a tylko wspominał o Darwinie. Przy końcu był własnoręczny podpis: Michał Z., słuchacz św. teologii. *J. F.*

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Dokończenie).

Włócząc się w rozmaitych kierunkach po Stambule, wraz z owym panem M., o którym wspominałam, zaszliśmy do pracowni znanego w świecie artystycznym malarza Chlebowskiego, co tem łatwiej nam przyszło, że artysta dzielił wspólne mieszkanie z naszym uprzejmym cyceronem. Chlebowski, gdyśmy go odwidzili, kończył właśnie większych rozmiarów obraz, przedstawiający Mahometa II. na białym koniu, któremu jako zwycięzcy, patryarcha Genodyusz rzuca pod nogi naczynia i skarby kościoła św. Zofii. Od tego to czasu niestety półksiężyc zabłysnął na szczycie świątyni i przeszło cztery wieki w Europie panuje.

Mają też Turcy nieraz i szlachetne pomysły i tak np. umierając, pozostawiają fundusze na postawienie studzien publicznych i utrzymanie takowych w najdłuższe czasy, twierdząc że woda jest niejako symbolem życia i zdrowia. Obfituje też Konstantynopol w smaczną wodę do picia, a przykute do basenu na łańcuszkach metalowe kubki, służą przechodniom do naczerpania tego otrzeźwiającego nektaru, nadewszystko błogiego w gorącym klimacie.

Wiemy z historyi, że Konstantynopol w czasach nieustannych napadów, przechodził długie oblężenia, wtedy to ważnem zadaniem dla nieprzyjaciela było poniszczyć wodociągi i odciąć przypływ słodkiej wody. Ażeby temu niedostatkowi zaradzić, cesarze Bizantyńscy budowali cysterny, reservoiry ogromnych rozmiarów, które napełnione, na czas zaopatrywały ludność w wodę do picia. Jedną z takich cystern jest *Bimbir-Direk*, co znaczy tysiąc i jeden słupów; mogąca pomieścić przeszło tysiąc i jeden stóp kubicznych wody. Istotnie kolumn, na których dach spoczywa, narachowano 224, ale że każda składa się z trzech odłamów, jeden na drugim spoczywających, więc cysterna ma ich 672. Miejsce to dziś opuszczone, zawalone gruzem, jako chłodne i wilgotne, służy za przędzalnię jedwabiu i szychu złotego do drogocennych tkanin oryentalnych. Wynędzniałe, prawie zielone twarze robotników świadczą o niezdrowem powietrzu tego miejsca.

Utrzymały się dotąd resztki akwaduktów starożytnych; kilkadziesiąt arkad bezczynnie dziś wypoczywa, po kilkuwiekowem zaopatrywaniu w wodę miasta całego, obecnie przyczyniają się tylko do upiększenia krajobrazu, jaki się przedstawia, patrząc na miasto z Pery.

Koło ogrodów Seraju, do których wstęp został nam wzbroniony, wznosi się na wzgórzu wielki gmach, główna siedziba rządu tureckiego; na dziedziniec wchodzi się przez okazałą bramę, która, jak nam tłumaczono, dała miejscu temu nazwę Wysokiej Porty. W czasach groźnej potęgi sułtanów wychodziły ztąd rozkazy do podbicia krajów sąsiednich, a srogości ich, dowodzi barbarzyński zwyczaj więzienia posłów i innych poddanych narodu, któremu wojnę wypowiedziano, w fortecy siedmiu wież (*Jedikule*). Zwiedzaliśmy te wieże, w których i nasz książę Jeremi Wiśniowiecki zakończył życie; wznoszą się one na końcu miasta, ku morzu Marmara. Dostawszy się w tą odległą dzielnicę, brnąc na przemian w śniegu i błocie, wprowadził nas żołnierz turecki na szczyt jednej baszty, gdzie rozmaite wiosenne kwiateczki już rozkwitłe, tuliły się przed zimnem do poczerniałych murów, świadków tylu tęsknych westchnień, o których przekonują napisy nieszczęśliwych więźniów.

Sławne są w Konstantynopolu bazary przewyższające obszarem budowy i bogactwem towarów, wszystkie bazary oryentu; jest to istny labirynt sklepionych ulic, z góry oszklonych, w których bocznych niszach, kupcy swe towary przedają. Do znanych nam już produktów wschodnich przybywa tu jeszcze wonny olejek różany, z dziwną własnością zamarzania jeśli jest prawdziwy, i dopiero ogrzany płynnym się staje; drugim nader pięknym wyrobem jest eteryczna gaza z Brussy, na tle której, pracowicie pelą i złotem haftowane bukiety i arabeski zdobią niezgrabne piękności Haremowe.

Zachowując w miłej pamięci pobyt nasz na gościnnym lądzie Azyi, po raz ostatni chcieliśmy ją pożegnać, i w tym celu, statkiem parowym popłynęliśmy do Skutari. Mieścina to nie wzbudzająca wcale admiracyi, domy drewniane, każdy odmienną farbą pomalowany, robi wrażenie miasteczka, które do zabawy dla dzieci w pudełkach się kupuje. Istnieje tu europejski omnibus, którym dojechaliśmy wskroś aż na wyżynę. W tej krótkiej wycieczce towarzyszył nam bardzo wykształcony i miły Ormianin, kupiec, właściciel domu w Skutari, tak żywo odczuwał obecnie miotającą Europą ideę narodowościową, mocą której każda rodzina, każdy naród ma prawo do życia samodzielnego, że tworząc w myśli swej odrębne Ormiańskie państwo, a chcąc je odpowiednio zaludnić, nawet Ormian w Galicyi zamieszkałych zaliczał do swych kompatryotów! Armenia wedle jego statystyki wynosiłaby wówczas 7 milionów ludności; żywo oni strzegą mowy swej ojczystej, a w kółku rodzinnem tylko po ormiańsku między sobą rozmawiają.

W piątek, dniem przed wyjazdem naszym z Konstantynopola, dowiedzieliśmy się, że można widzieć sułtana Abdul-Azisa udającego się na modły do moszey. Doskonale owa ceremonia maluje kapryśny autokratyzm sułtanów. Do ostatniej chwili nikt nie wie, o której godzinie, którą bramą i jakim sposobem, t. j. konno czy łódką, powozem czy pieszo i do której moszey sułtan między 11. a 2. godziną uda się na modlitwy? Przybyliśmy tramvayem do pałacu *Dolmabagdsche*, tego prawdziwego cacka architektury nowożytnej. Trzy bramy z marmuru białego, prześlicznie rzeźbione, prowadzą do wnętrza pałacu, w którego dziedzińcu zastaliśmy orszak składający się z dygnitarzy i wyższych oficerów w lśniących strojach galowych przed bramami szeregi wojska utworzyły szpaler, po za którym tłumy widzów się cisnęły i ja między niemi. Na Bosforze stały w pogotowiu długie złocone łodzie, przypominające gondole weneckie. Po trzygodzinnem czekaniu powstał ruch i szmer w dziedzińcu, wprowadzono konia arabskiego, ukazał się sułtan, a cały orszak i dygnitarze ze złożonemi w krzyż na piersi rękami głęboki pokłon mu oddali. Dnia tego postanowił więc sułtan jechać konno, kareta i gondole pozostały, orszak zaś pieszo w pół zgięty udał się za sułtanem siedzącym ospale, chmurno na koniu i postępującym wolnym krokiem do najbliższej na przeciw pałacu leżącej moszey.

Co do charakteru jego rozmaite opowiadają anegdotki, w których i nasz Chlebowski jako nadworny malarz, rolę odgrywa. W przejażdżce swej po Europie, zwiedzał Abdul-Azis galerye obrazów; nieprzyjemnie uderzały go płótna, przedstawiające bitwy, w których Turcy zawsze figurowali jako pobici; wróciwszy więc postanowił dać odwet Europie, a wezwawszy Chlebowskiego do swego pałacu, kazał mu aby w jak najkrótszym czasie malował obrazy bitew, w których Turcy gromią chrześcian; sam mu podawał myśli, sam niejako kierował jego pęzlem.

A skoro obraz był jako tako podmalowany, wystawił go na widok publiczny, by swemu uczuciu dumy dogodzić. Obrazy te pospiesznie wykonane ściągały krytykę ostrą na ich twórcę i Chlebowski podziękował za urząd, podając za powód chorobę. Sułtan nie wierzył, posłał swoich lekarzy, a gdy ci stwierdzili istotną słabość rodaka naszego, sułtan z kuchni swej posyłał mu codziennie bulion, który w karecie dworskiej z niemałą okazałością mu dostawiano.

Chciał on także, o ile się dało naśladować we wszystkiem Europę, za pieniądze, których mu łatwo na wysoki procent, Europa dostarczała, budował pancerniki, drogi żelazne, kupował działa Krupa i odtylcówki, zakładał szkoły i t. d.

Raz zwiedzał szkołę marynarki nad Złotym Rogiem położoną, podobał mu się młody kilkunasto letni uczeń, na drugi dzień awansuje go

więc na porucznika, w kilka dni na kapitana, majora, potem paszę, i na domiar szczęścia daje mu córkę za żonę, a jest to nielada zaszczyt, choć zarazem i ciężar mieć taką żonę, gdyż mąż księżniczki musi być jej uległym i ślepo posłusznym. Młodziutki więc uczeń, syn ubogich rodziców, w pół roku zrobił karyerę! Cóż, kiedy bo w Turcyi szczęście kapryśne, tak jak humor padiszacha! W kilka miesięcy, zięć sułtański popadł w niełaskę, zdegradowano go i wysłano na gubernatora do odległej prowincyi, lecz nie dość na tem, dalsza degradacya następowała tak szybko jak awans, nasz młody marynarz schodził na paszę, majora, kapitana, porucznika i do roku napowrót został uczniem w szkole marynarki.

Czyż kreśląc te wesołe anegdotki, spodziewałam się tak tragicznego skonu potentata, czyż myślałam że *nożyczki* przetną nić życia tego bóstwa?

Czas pobytu naszego w Konstantynopolu trwał od 1. marca do 11. Są lata, w których wiosna z całym przepychem w marcu już rozściela swoje powaby, my trafiliśmy niestety na zimno, śnieg i deszcze, które i nam i Turkom dokuczały dotkliwie; nikt nie był nie przygotowany na podobną porę, okna źle zaopatrzone, pieców prawie nie ma, tylko na kominkach całemi dniami żarzyły się węgle. Postanowiliśmy przeto jak najprędzej wracać do kraju. Dwie drogi prowadzą z Konstantynopola do Galicyi, statkiem do Warny a potem koleją na Ruszczuk, Bukareszt, Jassy, Czerniowce; druga morzem na Odessę, Podwołoczyska. Tyle nam naopowiadano o przygodach i nieporządkach na kolejach tureckich, o trudności przebycia Dunaju z Ruszczuka do Giurdżewo, gdzie ćwieć mili w błocie wiosennem, brnąć czasem trzeba, a lody na Dunaju często zupełnie tamują komunikacyą, żeśmy nasze kroki ku Odessie skierowali. Dnia 12. marca o 2giej z południa zaambarkowaliśmy się na statek rosyjski „Ceres“, podobny do austryackiego Lloyda, dobrze urządzony mający uprzejmego kapitana i załogę rosyjską, na którym nadto *stuart* czyli sługa okrętowy był Polakiem co nam było rzeczą nader przyjemną. Cudownie piękny, tęskny jakiś przedstawiał się nam Carogród... powoli ginęły szczyty minaretów, pałaców, wieży Genueńskiej, po brzegach Bosforu nęciły oko nowe widoki pałaców sułtana, Kediva i innych bogaczów. Fortyfikacye z działami sterczącemi, przypominały, że o ten kąt ziemi, nieraz jeszcze krew lać się będzie... I tak korzystając z morza w Bosforze dosyć spokojnego, zaprosił nas kapitan wcześniej na obiad, przeczuwając że przy wjeździe na morze Czarne statek hulać zacznie i apetyt popsuje. Istotnie po skończonym obiedzie wyszedłszy na pokład, nasza „Ceres“ na różne strony to podnosić się, to w przepaść padać zaczęła, było to właśnie po burzy, morze najfatalniejsze, im dalej tem gorzej, przód statku wznosił się tak w górę, że myślałam iż się przewróci; utrzymać się na ławce było niepodobieństwem, próbowałam zejść do kajuty, nie zdołałam, wstrząśnienia były tak szybkie, że potrącona upadłam dość szczęśliwie, że bez cięższego obrażenia, bo drudzy ze szramami na czołach wyszli z tej podróży. Noc całą nie zmrużyłam oka, nazajutrz, jak pod rószczką czarodziejską morze tak się ukoiło i zapanowała niepamiętna cisza na Czarnem morzu, znanem ze swego burzliwego temperamentu. Dzień był piękny, lecz niebo i wody choć nieruchome, ale czarne, straszne. Na drugi dzień rano żegluga stawała się coraz uciążliwszą, morze marzło, a do portu wpłynąć było niepodobna, objął się o nasze uszy projekt kapitana, płynięcia aż do Sebastopola? w innej porze pewnie z przyjemnością byłabym się poddała tej konieczności, w tej chwili serdecznie tęskniłam do stałego lądu.

Kilkanaście razy podwoiwszy siłę pary, starano się przebić spajające się coraz mocniej lody, i tylko zawdzięczamy nasze wylądowanie szczęśliwemu przypadkowi, że przed przybyciem naszem, z rozkazu angielskiego okrętu opuszczającego Odessę, kilkaset robotników pracowało nad przerąbaniem drogi w porcie i śladem tym „Ceres“, choć z forsą zwalczyła trudności z każdą chwilą się wzmagające.

Odessa, ma już zupełnie cechę miasta europejskiego, na wyniosłych brzegach, nowożytnym amerykańskim sposobem zbudowana, posiada kilka prostych, długich ulic, przeciętych symetrycznie innemi, tak że całe miasto zdaje się być z kwadratów złożone; prócz zwykłych, dużym miastom właściwych, wspaniałych gmachów, statua Richelieugo, założyciela Odessy, stanowi jej największą ozdobę; od stóp pomnika schodzi się ku morzu dwiestoma imponującymi kamiennymi wschodami; port najeżony masztami, do którego kolej żelazna, długim pomostem wciska się, dla ułatwienia ładowaniu towarów na okręta.

Mocno byliśmy zawiedzeni wiadomością że od dni dwudziestu dla zamieci śnieżnych komunikacya z Galicyą przerwana, co nas zmusiło do ośmiodniowego pobytu w Odessie. Ponieważ była to pora wielkiego postu, przedstawień teatralnych nie było. Cyrk pp. Godfroy ściągał licznych widzów, koncerta zaś w restauracyach i w elegancko przystrojonych salach kwiatami, odbywały się przy sześciu, ośmiu tylko słuchaczach. Zwiedziliśmy pomimo pory zimowej zakład morskich kąpieli Langéran zwane, dziś własność hr. Grocholskiego.

Tak jak wszystko na świecie przechodzi, skończyły się i oczekiwania nasze. Nadszedł dzień wyjazdu; korzystaliśmy z pierwszego pociągu po przywróceniu komunikacyi, na który nie bez obawy wsiadałam po świeżo zdarzonym okropnym wypadku o parę stacyi za Odessą. Wśród niebotycznych ścian śniegowych, posuwał się nasz pociąg, wązką odkopaną drożyną, z pewnem ukontentowaniem i zadowoleniem zbliżałam się ku domowi, w którym po 69ciu dniach szczęśliwie znowu stanęłam.

Radziwiłł 300 lat temu potrzebował trzydzieści miesięcy na odbycie tej samej drogi.

Koniec.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA.“

Wschowa. We wrześniu 1878 r.

(*Edmondo de Amicis. — Fritz'a Reuter'a pośmiertna komedya. — Francuski dramat dla widzów z bulewarów. — Z Niemiec. — Z Wielkopolski.*)

Od niedawnego czasu rozbiega się po Europie nazwisko włoskiego autora, Edmunda de Amicis, którego utwory i nasi tłumacze przekładają. O pracach zagranicznych mają Polacy zwykle wygórowane pojęcie, bo jeszcze dotąd: jest prawie wszystko, co obce, dobre. Edmondo de Amicis nie jest pisarzem ostatniorzędnym, ale do pierwszorzędnego braknie mu niezmiernie wiele, a tylko takich powinna zagranica tłumaczyć i rozchwytywać, bo drugo i trzeciorzędnych ma każdy kraj dosyć na własną chwilową potrzebę. De Amicis był włoskim oficerem. Jako autor wystąpił „szkicami z żołnierskiego życia“, które jeszcze w mundurze pisał. Lekkim, szybko płynącym i poprawnym językiem szkicuje w tej robocie żołnierskie życie, chwytając szczęśliwie pojedyńcze motywa. Co widzi, chwyta dobrze, prawdziwie i dobrze też z plastyką urodzonego epika maluje. Już w tej pierwszej pracy odsłonił się talent jego w całej pelni: de Amicis jest dobrym opowiadaczem, epikiem z łaski bożej, czyli wdzięcznym nowelistą. Obrazuje znakomicie, maluje nawet charaktery prawdziwie, ale tylko pojedyńcze, powszednio-typowe. Dusz skomplikowanych, charakterów namiętniejszych lub rozłożystszych wcale nie rozumie; walk psychologicznych nie tyka się nigdy, bo to zbyt trudne rzeczy dla lekkiego jego pióra, słowem nie ma ani tragiki, ani psychologii, ani oka filozoficznego, czyli znamion pierwszorzędnego talentu. Takie talenta są zwykle jasne i optymistyczne, bo nie umieją sięgać na dno duszy, nie rozumieją, raczej nie widzą emocyi psychicznych, łez, smutków, zawodów ludzkiego serca. Biorą życie z wesołej strony, płyną po wierzchu niby słońca wiosennego promienie po gładkiej szybie jeziora. Jesieni życia, zimy serca, burz duszy nie znają. Skutek: że właśnie takich autorów wcześniej ukochają, aniżeli psychologów i filozofów, którzy niemiłosiernie iluzye przez samych ludzi zesnute rozdzierają, bo człowiek nie lubi, aby do niego wołano: patrz, jakiś głupi, a myślisz, że mądry jesteś i szlachetny. „Szkice“ p. de Amicis, zjednały sobie też szybko wielkie powodzenie, które go zniewoliło do odpasania szpady. Podjął pióro na zawsze i napisał cały szereg nowel i opisów podróży. Domyśli się każdy, że mu się opisy podróży najlepiej udały jako urodzonemu epikowi, bo już do noweli więcej psychologa potrzeba. De Amicis nie jest nawet jako nowelista pierwszorzędnym poetą, bo nie umie stwarzać objektywnie. Wszędzie podsuwa myśl własną, a myśl ta wcale nie głęboka; postaci tchną za wiele autorem, więc są w dalszych jego pracach manierowane. Rezultat będzie taki: ponieważ de Amicis nie jest ani filozofem, ani psychologiem, ponieważ nie umie sondować namiętniejszej lub więcej skomplikowanej duszy ludzkiej, ponieważ tylko to widzi, co błyszczy, a lęka się tego, co odraża, i nie ma żadnego własnego kierunku, dlatego nie może mieć pretensyi do tytułu pierwszorzędnego autora, a dalej nie jest nawet drugorzędnym, bo nie umie malować *objektywnie*. Jest on nowelistą trzeciorzędnym, miniaturowym, jakich wielu w każdym kraju; dla przykładu nieboszczyk Hackländer w Niemczech, którego talent zupełnie z talentem p. de Amicis stroi. Lekki, wdzięczny, miły, kochany i wykwintny opowiadacz, ale nie głęboki lub jasnowidzący. We Włoszech ma de Amicis wielkie powodzenie. Jeżli się autorowie polscy na obojętność swego kraju słusznie skarżą, powinni się włoscy jeszcze słuszniej skarzyć. Największe, najpoważniejsze pismo Włoch, „Nuova Autologia“ ma zaledwie 2000 abonentów, choć w niem przednie siły włoskich mózgów pracują. Taki Augusto Vera np., filozof, musi pisać po francusku, bo go ziomkowie wcale nie czytają. Sławnej broszury tegoż „Cavour et l'eglise dans l'etat libre“ nie ma w żadnej księgarni włoskiej. Toć już u nas lepiej. Ale Edmundo de Amicis zdobył sobie liczne grono czytelników, którzy się bawią lekką lekturą. Dzieło jego „Constantinopoli“ dożyło siódmego wydania w krótkim czasie.

— Spadkobiercy muzy reuter'owej wydali niedawno komedyą wielkiego meklenburgskiego pieśniarza. Wiadomo, że Fritz Reuter wywalczył dla narzecza meklenburgskiego (platt) prawo obywatelstwa w literaturze niemieckiej. Jego powiastki ludowe w narzeczu ludowem pisane, zjednały autorowi rychło sławę, pieniądze i szczęście, i słusznie, bo tyle w nich wdzięku, tyle humoru, tyle żywych, z natury zdjętych obrazków, że się rozbawić i uczyć z nich można.

Jednak udowodnionym jest faktem, że autorowie w jednym kierunku znakomici, w innym najczęściej kuleją. Już z klasycznym językiem niemieckim nie umie sobie Reuter radzić, a kiedy opuszcza rodzaj epicznego opowiadania traci do reszty pewność siebie. Napisał on między innemi 3 aktową komedyą „Die drei Langhäuse“, której nie publikował, bo w wartość jej nie wierzył. Spadkobiercy nie przysłużyli się Reuter'owi wcale, wydobywając ją z zapomnienia. Już to samo, że język tej komedyi jest klasyczny, a nie ludowy, uprzedza o jej wartości literackiej niekorzystnie, bo Reuter umie być tylko znakomitym humorystą i opowiadaczem, kiedy narzeczem meklenburskiem pisze. Ale i reszta utworu nie ma wartości. „Jakiś baron von Stolt i pani von Gernfried odziedziczają ten sam proces po ojcach, który muszą dalej prowadzić, bo od tego zależy ich byt. Zdarza się, że właśnie owa pani von Gernfried jest pierwszą kochanką barona, a obecnie wdową. Pani chce zgody z baronem, a ze zgodą jego ręki, ale baron ucieka zawsze, ilekroć ma się dowiedzieć z ust kochanki, że to ona z nim się procesuje. Oto, intryga, która w rezultacie rodzi rozmaite komiczne sytuacye. Intryga nie bardzo rozumna, jak widzimy. Oprócz dwóch wybitniejszych postaci komedyi odgrywa jakiś Langhaus niepoślednią rolę, bo i on wpleciony jest w proces. Ten pan Langhaus piastuje równocześnie trzy urzędy: jest kasyerem, prawnikiem i leśniczym. Do każdego z tych trzech urzędów ma osobne biuro i osobny mundur, który do każdej innej funkcyi przyodziewa i ztąd trafia się dość często, że się musi czasem trzy albo sześć razy na dzień przebrać. Tak samo służący jego, który jest kolejno borowym, woźnym lub egzekutorem. Postaci te, do których ideę Reuter z Moliera pożyczył, schodzą się często bardzo komicznie. Oto wszystko — żenią się na końcu i weselisko i basta. Idei tu nie ma żadnej, charaktery są blade, prawie bezbarwne, dykcya niezręczna, kompozycya ociężała, przypominająca epika, dla którego szeroko obrazowane sytuacye więcej powabu mają, aniżeli szybki czyn. Krytyk lub inny czytelnik-znawca bawi się niezmiernie, kiedy widzi jak Reuter chce koniecznie „z wysoka gadać“, a bezustannie w trywialne obrazy swego narzecza wpada. N. p. panna Emma Langhaus, która w komedyi ma reprezentować wykształcenie mówi tak: ilekroć o owym procesie słyszę, zdaje mi się, że jadę koleją żelazną, że pociąg ze szyn wypada, und alles geht holterdipolter drunter und drüber, so dass es um mich summt, schwirrt, wirbelt, stöhst und klappert und sich wie im *holden Wahnsinn* (sic) dreht. Takiego obrazu użyje może chłop meklenburski (holterdipolter), ale nigdy wykształcona panna. Słowem, komedya ta nie ma żadnej wartości czy takiej czy innej. Reuter'owi publikacya jej szkodzić wcale nie może, bo sława jego na innem polu umocowana, ale spadkobiercom poety chluby nie przynosi, bo łatwo się domyślić, że im tylko o eksploatacyą znakomitego imienia chodziło.

— Trudno, aby wszyscy w artystycznym dramacie gustowali. Aby się raczyć klasyczną tragedyą lub komedyą, a nawet wyższym dramatem społecznym, potrzeba mieć wykształcony smak estetyczny, którego się łatwo nie nabywa. Wiele, wiele lat trzeba się uczyć, chcąc dojść do samowiedzy, choćby w jednej gałęzi wiedzy lub sztuki ludzkiej. Zkądże żądanie, aby rzemieślnik co w niedzielę do teatru idzie, miał zaraz Szekspira, Szylera lub Molière'a rozumieć i ukochać. Przekonany jestem, że nie wszyscy literaci mają od razu jasne, umiejętne pojęcie nawet o tym rodzaju piśmiennictwa, w którym wyłącznie pracują, bo samowiedza nadchodzi dopiero w ciągu pracy. Aby nie obrazić kolegów na siebie, przyznaję się, że już trzy powieści mego pióra w świat puściłem, a przecież nie miałem ani programu, ani nawet wiedzy o sposobie (technice) pisania powieści, aż mnie głębsze studya pouczyły. Przeto niech się nikt nie wstydzi powiedzieć: nie wiem, ale chcę się nauczyć. Tak może powiedzieć literat lub inny człowiek umysłowo pracujący, ale nigdy człek pracy ręcznej, bo taki nie ma do kształcenia się czasu. Taki jegomość chce się w teatrze bawić, śmiać, a jeźli pragnie wzruszenia, to tak silnego, któreby nawet nerwy kowala lub piwowara wstrzęsły. Śmieszny jest estetyk-purytanin, któryby cały świat chciał przekonać do klasycznego dramatu, a śmieszniejszy recenzent, co gromi dyrektora teatru, iż od czasu do czasu wystawi jaką bombę ku zabawie jaskółki, czyli galeryi. Suum cuique. I ulicznik, doróżkarz, szewc lub inny „znawca“ musi za to, że bezmyślnie na dramacie klaska, mieć swoją zabawę. Co mu tam po psychicznych emocyach, których nie rozumie. Przeto i śmiesznostki jak podróż po Warszawie, Modniarka, Fafuła, na wystawie paryskiej i t. d. mają racyą bytu na niedzielnej scenie. Spełniają tę samą misyą, jaką małpa, skakająca na grzbiecie wielbląda ku radości uliczników, albo niedźwiedź tańczący, albo linoskok, czyli bawią aż do rozpuku, trywialnie w trywialnym guście się wyrażając. Łatwo się domyślić, że autorowie takich robótek (Machwerke), nie mogą mieć pretensyi do tytułu pisarza, a tem mniej artysty, a jeśli sobie takie prawa arogują, żałujmy ich. Niech im starczą ruble i talary; sława zostaje dla tych, co zwykle talarów nie mają. Nie idzie wcale za tem, aby pospólstwu tylko śmiecie rzucać i tylko śmiecie, bo teatr jest szkołą, choć nigdy kazalnicą, nie idzie za tem, aby podobne dramaty miały prawo do samowładnego panowania na scenie ludowej, aby w końcu rzekomy autor wynajdywał, same postacie z sal sądowych — wcale taki wniosek nie płynie z mego poprzednika jak może zawołają redaktory „od księżych przeglądów“, co każde wolniejsze słowo robią ziarnem, rodzącem Hödlów i t. d.... a sami mimo głośno-szumno-powiewno-idealnych frazesów na duchownym obroku zwykle okrągleją, (aha, macie też raz), wcale za tem nie idzie, aby z teatru zrobić salę sądów przysięgłych, lub dziedziniec więzienny, na którym głowy niby makówki ścinają. Bawić zawsze lud choćby najlichszą śmiesznostką, pożyczoną gdzieś z mózgu niemieckiego farsisty, ale nigdy gorszyć, bo ktoby zgorszył jednego z maluczkich... (aha, nawraca się tatuś Hödla, misyonarz kłamstwa widocznie). Na tę drogę (nie na prawą oczywiście) weszły dziś dramata Francyi tak zwane bulwarowe. Nazwisko to dostało im się ztąd, iż je odgrywano prawie wyłącznie w teatrzykach, na bulwarach Paryża położonych. Rzecz dziwna! Te dramata, dziś zwane bulwarowymi, są przecież owocami opozycyi przeciw sztywnej tragedyi Francuzów, którą nazywają klasyczną. Przewodnicy romantycznej szkoły (mianowicie Hugo i Dumas, ojciec) wyłamali się z pod szablonowych praw klasycznej tragedyi, która stąpa jak na sztalugach.

Oni to pisali dramata o wolniejszych kompozycyach, nie troszcząc się o przyjęte formy lub pojęcia, a ponieważ ich z razu w teatrach większych nie chciano wystawiać, uciekali się do mniejszych świątyń mimicznych. Z opozycyi wytworzyła się samowola wyuzdana, jak zwykle, bo półgłówków dość na świecie, którzy nie zrozumiawszy myśli wyższej, pochwycą z niej tylko to, co najwięcej podpada. Pessymista teoretyczny, czyli krytyk społeczny, patrzący przez szkła realne, białe, a nie różowe, może będzie mimowolnie ojcem jakiego niedouczonego rzemieślnika, któremu praca zaciężyła, więc zachorował na filozofa, ale żaden człowiek rozumny nie powie: ty jesteś winny! Kiedy Goethe napisał Werthera, topiły się sentymentalne panny skutkiem sztucznych sentymentalizmów, kiedy „Zbójcy“ Szyllera narobiły w Niemczech wrzawy, szły chłopaki, którym ława szkolna zbrzydła, do lasów, o czem wiemy. Własnowola romantyków francuskich zrodziła samowolę lichych pisarków, co gonią za oklaskiem hołoty. Któż nazwie Wiktora Hugo ojcem dramatu bulwarowego? Chyba ksiądz jaki! Sopienti sat! Czemże taki dramat bulwarowy? Oto mordują się tam, żgają, przeklinają, a im więcej krwi i hałasu, tem więcej oklasków z galeryi. Ale galeryą wolno bawić, a nigdy rozzwierzęcać, bo zwierzęcia aż za wiele w człowieku. Zbrodnia w najrozmaitszych wersyach, a zbrodnia nie umotywowana logiką stosunków lub czynu, przypadkowa, jest przedmiotem tych dramatów. Złodziejstwo, fałszowanie dokumentów, morderstwo przeróżne — oto materyał artystyczny, który bawi pospólstwo paryskie. Że się z takich ziarn zrodzą komunizmy i tym podobne nieokreślone teorye polityczne, nie dziw. „Autorów,“ którzy w ten sposób wieńce zbierają, dużo we Francyi. Dziś cieszy się najwięcej Jean Renaud sławą tego rodzaju. Panowie księża, zwróćcie wasze zelotyzmem zatrute strzały, w tę stronę, a przyklaśnie wam każdy, bo to iście wszelkiego bezeceństwa w praktyce zwiastuny.

— Że parlament niemiecki działanie swoje już rozpoczął, rzeczą wiadomą. Nacyonał-liberały, czyli stronnictwo, które się zwało liberalnem, a gospodarowało w kraju, jak najezdca, co się spieszy, bo za plecami podbity lud się podnosi, doznali tedy wielkiej klęski. Jak się stronnictwa obecnie ugrupują, zobaczymy niebawem. Że ks. Bismark zmienia politykę wewnętrzną, czyli, że po raz pierwszy do tej polityki zagląda, bo dotąd był na zewnątrz zajęty, mało sobie ceniąc roboty krajowe — aż mu się buda nad głową zapaliła, rzeczą wiadomą. Jak się jednak ta nowa taktyka upostaciuje, okaże rychła przyszłość. W domysły wdawać się nie warto, bo dziś dzieją się takie cuda w dyplomacyi i polityce, żeby się ich nawet amerykański reporter nie domyślił. Reakcya nadchodzi — to pewną rzeczą, a reakcya jest dziś w Niemczech czemś niespodziewanem, więc -- oby nie wydała nowych Hödlów i t. d.. Konserwatyzm tryumfuje, a inteligencya rzeczywista smuci się. Niemcy są chore i to ciężko. Tedy zgłaszają się przeróżni lekarze. Ten tak radzi, inny owak, ten każe wystrzelać hołotę komunistyczną bez pardonu (konserwatywny polityk) inny radzi odrodzenie z wewnątrz (uczeni i estetycy jak M. Carriere); dość, że wszyscy skarżą się na obecny porządek, a nawet, czego dotąd nie bywało, zjawił się mąż znanego imienia pan Virchow, jak wiemy z gazet, który gani politykę kanclerza. Tę cywilną odwagę musi każdy podziwiać, bo wiemy że ks. Bismark nie obchodzi się z osobistymi wrogami łagodnie (hr. Arnim dla przykładu.)

— Na koniec dzisiejszej korespondencyi parę słów o Poznaniu... Ktoś niejakiś, bo trudno Filipa z konopi inaczej nazwać, napisał lichą broszurkę pod tyt.: „Na jaw!“ jak wiecie. Oto autor, mądry snać polityk, bo wietrzący rzeczy, o których się nikomu nie śni, dowodzi tam, że my „Polaki“ znowu się buntujemy, że mamy jakiś rząd narodowy, a dalej ostrzega publiczność przed spiskowcami i emisaryuszami. Jak się ta omyłka wyświeciła, wiadomo. Ale głupstwo to pochwyciły gazety zagraniczne i narobiły wielkiej wrzawy. Że nam podobny rozruch pomódz nie może, to i taki autor takiej broszury odgadnie.

Gdyby rzeczywiście w kraju pod ziemią pracowano, byłby każdy zbrodniarzem, coby swych ziomków denuncyował, a tem gorzej, kiedy nikt o minowaniu nie marzy. Może ten i ów sądzi, że zapał stronniczy wydał ową broszurę. Tak wierzyć może ktoś na prowincyi, ale nie ktoś co zna drobne intrygi zakulisowe poznańskich dziennikarzy. Jest ich tam dość, a wszyscy „luminarze.“ Oho! Niech kto powie

inaczej, a zobaczy, co go spotka. Cóż szkodzi, że np. „Dziennik Poznański" pisze językiem ucznia 5ej klasy, że nie umie uczciwego zdania po polsku napisać, a reszta pism żyje tylko jadem, który na siebie przy każdej sposobności bryzgają. Cóż może być powodem owej broszury? Oto — zdaje mi się — chciał autor jej podać do wiadomości publicznej nowinkę „pikantną" na złość panom kolegom, którzy o niej nie wiedzieli. Co za tryumf; jaka zazdrość! Patrzcie, on wie, a my nie wiedzieli. Innej myśli nie miał pewno szanowny autor, bo gdyby ją był miał, nie wartby był.... No, skończmy już temat wcale a wcale nie miły. Wiemy, że sam autor dziś nierozważnej publikacyi żałuje, której skutków się pewno nie domyślał. Wielcy ludzie Poznania! Obyście się chcieli raz nauczyć, że drobne zazdrości, maluchne prywaty, należą do reporterów, a nie zdobią nigdy skroni tych, co się zwią przewodnikami „walczącego" narodu. *F. Jeske Choiński.*

SERENADA

z Wiktora Hugo.

Śmiej się, dziewczyno! Uśmiech ci do twarzy.
Rozjaśnia lica i ząbki odkrywa,
Nikt ci się jego bronić nie odważy,
Dopókiś młoda, dopókiś szczęśliwa.
Śmiech twój dzisiejszy Pan Bóg bez wątpienia
Przyjmie za pacierz u swoich ołtarzy,
Tyle w nim dźwięczy hymnów dziękczynienia,
Śmiej się dziewczyno! Uśmiech ci do twarzy!

Zapłacz, dziewczyno! Z łzami ci do twarzy,
Zwilżone oko więcej miewa blasku,
Łza, oręż kobiet, którym, nas, mocarzy,
Te niewolnice prowadzą na pasku.
Nim ci istotnie serce nie zaboli,
Zanim ci gorzko szlochać się nie zdarzy,
Choć łzą kaprysu, choćby łzą swawoli,
Zapłacz, dziewczyno! Z łzami ci do twarzy!

Spiewaj, dziewczyno! Spiewać ci do twarzy,
Kiedy ty nucisz, ja u ust twych wiszę,
Kiedy ty nucisz, chciałbym świat cmentarzy
Wielką bez końca ukołysać ciszę:
I pochłonięty ogólnem milczeniem
Chciałbym twej piosnki, co o Niebie gwarzy,
Jak gościa ztamtąd słuchać z uwielbieniem,
Spiewaj, dziewczyno! Spiewać ci do twarzy!

Zaśnij, dziewczyno! Sen ci tak do twarzy,
Cisnąc pierś moją, co kipi szalona,
Patrzę jak czasem senny ruch obnaży
Nieco twej szyjki, trochę twego łona!
Ale się nie bój, o lilio przeczysta!
Niewinność twoja przy tobie na straży,
Jam nie kochanek, jam tylko artysta,
Zaśnij, dziewczyno! Sen ci tak do twarzy!

Rób co chcesz, dziewczę! Wszystko ci do twarzy!
Radość, ból, trwoga co wzrusza, co złości,
Co ci się przyśni i co się zamarzy,
Tyleż tryumfów dla twojej piękności.
Każdego kroku obmyślanie z lękiem
Zostaw nieszczęsnym, co brzydcy i starzy,
I wiosny życia promieniejąc wdziękiem
Rób co chcesz, dziewczę! Wszystko ci do twarzy!

J. S. Chamiec.

DOBRY PRZYTUŁEK

z P. Déroulède.

„Staruszeczko! Dosyć tego!
Jam już ogrzał się jak trzeba!
Oszczędź resztek drzewa twego!
Srogą zimę dały nieba,
Z Prusakami snać w przymierzu!"
Gdzietam! Babuś ani słucha,
Drzew przykłada, chucha, dmucha,
„Grzej się! grzej się! mój żołnierzu."

„Staruszeczko! Jako żywo!
Jam już najadł się do syta!
Schowaj! Zda ci się mięsiwo!
Schowaj! Zda się okowita!
Wszak nie zbytki w twym spichlerzu!"
Gdzietam! Babuś nie ustaje,
To nalewa to znów kraje,
„Krzep się! Krzep się, mój żołnierzu!"

„Staruszeczko! To za wiele!
Żarty stroisz li widoczne!
Własne łóżko dla mnie ściele!
A na ławie czy nie spocznę?
Wstydziłbym się chrapać w pierzu!"
Gzietam! Babuś z gościnności
Wciąż poprawia, gnieździ, mości,
„Zaśnij! zaśnij! Mój żołnierzu!"

Dzień już świta. Pora w drogę.
„Co to? co to? czy wzrok mami?
Dźwignąć torby mej nie mogę,
Tak ładowna przysmakami!
Staruszeczko! lecz w pacierzu,
Krzyż mi kreśląc po nad głową
Babuś rzewne szepce słowo:
„Syn mój w wojsku też! żołnierzu!"

J. S. Chamiec.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Ciąg dalszy).

IV.

W sierpniu ogród doktora Deberle stał się prawdziwą studnią liści. Koło kraty bzy i szczodrzenica pomięszały się z sobą gałęźmi swymi, a pnące się rośliny, bluszcze, przewierścień, powoje wyrzucały latorośla na wszystkie strony, wiązały z sobą, plątały, spadały kaskadą, pięły się aż do wiązów stojących w głębi ogrodu, przebiegłszy drogę do nich po murze; a tam znowu zawisł niby namiot między drzewami, wiązy wzniosły się jak potężne słupy zielonego salonu. Ogródek ten tak był mały, że najmniejszy kawałek cienia co nań padł, już go zakrywał. W południe słońce tworzyło na środku jedną żółtą plamę, zarysowując okrągły trawnik, po którego dwóch bokach znajdowały się klomby. Koło ganku rósł wielki krzew róży, osypany ogromnemi herbacianemi różami. Wieczorem, kiedy upał ustawał, zapach ich stawał się przenikający, ciepła woń róż napełniała powietrze pod wiązami. Nie mogło być nic przyjemniejszego jak ten kącik pachnący, do którego ciekawe oko sąsiadów przedrzeć się nie mogło, i który budził dalekie wspomnienie dziewiczego lasu, podczas kiedy na ulicy Vineuse katarynka grała polki.

— Pani — mówiła Rozalia każdego dnia, dla czego panienka nie schodzi do ogrodu?... Takby jej przyjemnie było pod drzewami.

Gałęzie jednego z wiązów wdzierały się do kuchni Rozalii. Ręką obrywała liście, uszczęśliwiona tym potężnym bukietem, którego głębi dojrzeć nie mogła. Helena odpowiedziała na to:

— Słaba jest jeszcze, świeże powietrze w cieniu zaszkodziłoby jej.

Ale Rozalia upierała się przy swojem. Jeżeli miała jakąś myśl dobrą, jak się jej zdawało, to nie łatwo się z nią rozstawała. Pani myli się, jeżeli sądzi, że cień może szkodzić. Chyba, że pani boi się, by komu nie przeszkadzać; ale i to pani myli się, panienka z pewnością nie przeszkodzi nikomu, bo nigdy tam nie ma żywej duszy, pan nie pokazuje się wcale, a pani ma zabawić w kąpielach morskich aż do połowy września; a nawet odźwierny prosił Zefiryna, by ten wygracował dróżki, tak, że drugą już niedzielę Zefiryn i one spędzali tam popołudnie. Ach! jak tam było ładnie, jak ładnie, do nieuwierzenia!

Helena zawsze odmawiała. Joanna zdawała się mieć wielką ochotę zejść do ogrodu, o którym często mówiła podczas choroby, ale uczucie dziwnego zakłopotania, pod wpływem którego spuszczała oczy, nie pozwalało jej nalegać na matkę. Nakoniec, następnej niedzieli Rozalia cała zadyszana stanęła przed Heleną — mówiąc:

— Oh! pani, nie ma nikogo, zapewniam panią. Ja tylko i Zefiryn, który gracuje... Niech pani pozwoli panience zejść. Nie może pani wyobrazić sobie, jak tam dobrze. Niech pani sama zejdzie na chwilę, tylko na chwilkę i zobaczy.

I mówiła to tak przekonywająco, że Helena zgodziła się. Obwinęła Joannę w szal i kazała Rozalii wziąć grubą kołdrę. Dziewczynka zachwycona, ale zachwyt swój okazująca tylko błyskiem wielkich świecących oczu, chciała dowieść siły swojej i sama bez niczyjej pomocy zejść ze schodów. Matka, gotowa do podtrzymania jej, szła za nią z rękami wyciągniętemi. Na dole, stanąwszy już w ogrodzie, obie wydały okrzyk zadziwienia. Nieprzejrzany ten gąszcz zieleni tak mało był podobny do czystego kątka, który widziały wiosną, że nie poznały.

— Czy nie mówiłam! — powtarzała Rozalia tryumfująco.

Krzewy rozrosły się tak, że alee zamieniły się w wązkie dróżki, z których powstał cały labirynt, gdzie suknie zaczepiały się o gałęzie. Możnaby sądzić, że to była jakaś ustroń lasu, z tem sklepieniem liści, przez które padało zielonawe światło, pełne słodyczy i tajemniczego wdzięku. Helena szukała wiązu, pod którym siadywała w kwietniu.

— Ale nie chcę, żeby tam siedziała. Za chłodno jest w cieniu.

— Proszę iść dalej — rzekła sługa. — Zobaczy pani.

O kilka kroków dalej las się kończył. Tam, wśród wysokich ścian zieleni na trawniku ukazywało się słońce; wielki złoty promień padał tu cicho i ciepło, jak na łączkę wśród lasu. Podniosłszy głowę, widać było tylko gałęzie drzew rysujące się na błękicie nieba tak delikatnie jak koronka. Herbaciane róże, trochę zwiędłe od upału, drzemały na swych gałązkach... W klombach stokrótki białe i czerwone układały się w deseń starych haftów.

— Zobaczy pani — powtarzała Rozalia. — Niech mi pani pozwoli. Ja sama to urządzę.

Złożyła we dwoje i rozpostarła wielką kołdrę na brzegu alei, gdzie cień się kończył. Potem posadziła Joannę, obwiniętą w szal, mówiąc jej, by wyciągnęła nogi. Takim sposobem dziecko miało głowę w cieniu a nogi na słońcu.

— Dobrze ci, kochanko? — spytała Helena.

— O, tak — odrzekła. — Widzisz, mamo, nie zimno mi. To tak jak gdyby się grzałam

przy wielkim ogniu... Oh, jakież tu powietrze, jak tu dobrze!

Helena, która niespokojnem okiem spoglądała na zamknięte okienice domu — rzekła — że odejdzie na chwilę. I rozmaite przytem dała polecenia Rozalii: będzie uważała na słońce, nie da dziecku siedzieć tu dłużej jak pół godziny, nie spuści jej z oka.

— Nie lękajże się, mamo — rzekła mała, śmiejąc się. — Powozy nie przejeżdżają tędy.

Zostawszy sama, brała piasek w rączki, bawiąc się przesypywaniem go z jednej w drugą. Tymczasem Zefiryn gracował. Ujrzawszy panię i panienkę, pospieszył włożyć na siebie surdut, zawieszony na gałęzi, i przez szacunek zaprzestał roboty i stał na miejscu. Przez cały ciąg choroby Joanny przychodził jak zwykle co niedzielę; ale wsuwał się do kuchni tak ostrożnie, że Helena nigdyby się nie była domyśliła obecności jego, gdyby Rozalia za każdym razem nie pytała w jego imieniu o stan zdrowia chorej, dodając przytem, że i on dzieli smutek całego domu. Oh, nabierał on pięknych manier, jak powiadała; co się nazywa, okrzesał w Paryżu. To też teraz oparłszy się na grabiach, kiwał głową, z wyrazem sympatyi, patrząc na Joannę. Spostrzegłszy go, Joanna uśmiechnęła się.

— Bardzo byłam chora — rzekła.

— Wiem o tem, panienko — rzekł, przykładając rękę do serca.

Potem chciał powiedzieć coś ładnego, jakiś żarcik, coby rozweselił ją — i dodał:

— Zdrowie panienki odpoczęło. Teraz dopiero będzie hałasować.

Joanna wzięła znowu garstkę zwiru. Wówczas, zadowolniony z siebie, śmiejąc się po cichu tak, że usta rozszerzały mu się od ucha do ucha, począł znowu z całych sił gracować. Grabie jego ostro i równo uderzały o żwir. Po kilku chwilach Rozalia, widząc, że mała, zajęta swą zabawą, spokojna jest i szczęśliwa oddalała się od niej powoluteńko, jak gdyby przyciągana skrzypieniem grabi. Zefiryn z drugiej strony trawnika znajdował się na samem słońcu.

— Pocisz się jak wół — szepnęła do niego.— Zdejmijże surdut. Panienka nie obrazi się.

Zdjął surdut i znowu zawiesił go na gałęzi. jego spodnie czerwone, które rzemień przytrzymywał w pasie, podnosiły się bardzo wysoko, a koszula z szarego grubego płótna, spięta u szyi kołnierzem, tak była sztywna, że się odymała i poszerzała go jeszcze. Kołysząc się z wdziękiem, odchylił rękawa, a to by raz jeszcze pokazać Rozalii dwa serca gorejące, które kazał sobie wypiętnować na skórze z tą dewizą: Na zawsze.

— Byłeś dzisiaj na mszy? — rzekła Rozalia, która zawsze w niedzielę pytała go o to.

— Na mszy... na mszy... — powtórzył, przedrwiwając.

Czerwone jego uszy odstawały od głowy, bardzo nisko ostrzyżonej, i cała okrągła osóbka wyrażała szyderstwo.

— Zapewne, że byłem tam, na mszy — rzekł wreszcie.

— Kłamiesz! — gwałtownie zawołała Rozalia. — Widzę, że kłamiesz, nos twój rusza się... Ach! Zefirynie, gubisz się, nie masz nawet religii... Obawiaj się!

Za całą odpowiedź chciał ją objąć w pół. Ale ona zdawała się być zgorszona tem i zawołała:

— Każę ci włożyć surdut, jeżeli nie będziesz przyzwoity... Nie wstydzisz się! Panienka patrzy na ciebie.

Zefiryn wrócił do grabi. Joanna w istocie podniosła była oczy. Zabawa z piaskiem zaczęła ją nudzić trochę; naprzód zbierała kamyczki, potem liście, wreszcie rwała trawę, ale powoli ogarniało ją lenistwo, bawiła się lepiej, nic nie robiąc i patrząc tylko na słońce, które powoli posuwało się na nią. Niedawno nogi jej tylko po kolana kąpały się w ciepłych promieniach; teraz doszły one już do stanu, ciepło zwiększało się co raz bardziej, czuła jego dotknięcie przyjemne jak pieszczota, jak głaskanie. Bawiły ją szczególnie te okrągłe plamy, piękne żółto-złociste, co tańczyły na jej szalu, Jak gdyby zwierzątka. I odrzucała w tył głowę, chcąc zobaczyć, czy popełzną aż do jej twarzy. Tymczasem obie swe małe rączki wysunęła na słońce. Jakże były mizerne, jak przezroczyste! Słońce przeświecało się przez nie; a jednak wydawały się jej ładne, różowe jak muszelki, podługowate i wąskie, podobne do dziecinnych rączek Jezusa. Potem świeże powietrze, wielkie drzewa, wreszcie gorąco odurzyły ją. Zdawało się jej, że usypia, a jednak wszystko widziała, słyszała wszystko. Tak było dobrze, tak słodko.

— Panienko, trzeba się odsunąć — rzekła Rozalia, która wróciła do niej.—Słońce nadto grzeje panienkę.

Ale Joanna nie przystała na to. Nadto dobrze jej tu było. Teraz zwróciła uwagę swą już tylko na służącą i żołnierza, uczuwając ową ciekawość dziecka do rzeczy, które przed niem tają. Spuściła oczy, niby nie patrząc na nich i jak gdyby usypiając, ale z pomiędzy rzęs śledziła ich bacznie.

Rozalia pozostała przy niej minut kilka. Nie miała jednak sił opierać się wołaniom grabi. Znowu krok za krokiem, jak gdyby mimowoli podeszła do Zefiryna. Łajała go za jego nowe ruchy, ale w istocie była zachwycona, przejęta niemem uwielbieniem. W długich swych z kolegami przechadzkach po ogrodzie botanicznym i na placu Château d'Eau, gdzie się znajdowały koszary jego, żołnierz nabył wdzięczących się ruchów elegancika paryskiego. Wyuczył się wymowy, przymilającej się wesołości i niezrozumiałego stylu, tak pochlebnych dla pań. Czasami traciła oddech z zadowolenia, słuchając frazesów, które mówił do niej, kołysząc ramionami; wyrazy których nie rozumiała wywoływały rumieniec dumy na twarz jej. Mundur nie przeszkadzał mu już teraz; z zuchowatą miną machał rękami tak, jak gdyby je chciał wykręcić sobie; miał swój szczególny sposób noszenia kaszkietu na szyi, co odsłaniało okrągłą twarz jego z nosem naprzód wysuniętym, kaszkiet zaś kołysał się miękko wraz z całem ciałem. Przytem emancypował się, zaglądał do kieliszka i ściskał kobiety. Z pewnością wiedział teraz więcej niż ona, z tem swojem szydzeniem i niedomawianiem. Nadto się okrzesał w Paryżu. I zachwycona, rozgniewana, stawała przed nim, wahając się, czy ma go podrapać czy pozwolić sobie mówić głupstwa.

Zefiryn tymczasem, gracując, zawrócił się w alei. Znajdował się za wielką trzmieliną i z ukosa spoglądał na Rozalię, a jednocześnie zdawał się przywabiać ją do siebie małemi uderzeniami swoich grabi. Kiedy stanęła tuż przy nim, mocno ją uszczypnął.

— Nie krzycz, to tak cię kocham! — rzekł szepleniąc. — A to masz w dodatku!

I na los szczęścia pocałował ją w ucho. A kiedy Rozalia z kolei uszczypnęła go do krwi, pocałował ją znowu, tym razem w sam nos. Zaczerwieniła się jak piwonia, bardzo zadowolniona w duszy, rozgniewana tylko, że z powodu panienki nie może mu odpłacić policzkiem.

— Ukłułam się — rzekła, wracając do Joanny, dla wytłumaczenia się z lekkiego krzyku, który wydała.

Ale dziecię widziało dobrze całą scenę przez cienkie gałązki trzmieliny. Czerwone majtki i koszula żołnierza wyraźnie odbijały na zielonem tle ogrodu. Powoli podniosła oczy na Rozalię i popatrzała na nią chwilę; Rozalia mocniej jeszcze zaczerwieniła się — miała usta wilgotne i włosy rozrzucone. Joanna znowu spuściła powieki, wzięła garstkę kamyków, ale nie miała sił bawić się i senna, z obiema rączkami na ciepłej ziemi, siedziała tak wśród wielkiego drgania słonecznego. Fala zdrowia wznosiła się ku niej i przygniatała ją. Drzewa wydawały się jej potężne, olbrzymie, a zapach róż upajał. Zdziwiona, zachwycona pogrążyła się w myślach jakichś niepewnych, nieokreślonych.

— O czem myśli panienka? — spytała Rozalia niespokojna.

— Nie wiem, o niczem — odpowiedziała Joanna.—A prawda, wiem... Widzisz, chciałabym dożyć później starości...

I nie umiała wytłumaczyć, co przez to rozumiała. To tak przyszło jej na myśl, mówiła. Ale wieczorem, po obiedzie, była zamyślona i, kiedy matka pytała ją o to — nagle rzekła:

— Mamo, czy kuzynowie żenią się z kuzynkami?

— Naturalnie — rzekła Helena. — Dla czego pytasz o to?

— Dla niczego... Żeby wiedzieć.

Helena była zresztą przyzwyczajona do takich nadzwyczajnych pytań. Pobyt w ogrodzie tak dobrze posłużył dziecku, że odtąd schodziła tam, jak tylko dzień był piękny. Powoli obawy Heleny rozprószyły się także; dom zawsze był zamknięty, Henryk nie pokazywał się, i ona sama w końcu zaczęła przesiadywać przy Joannie na brzegu kołdry. Ale następnej niedzieli zaniepokoiła się, spostrzegłszy rano okna otwarte.

— Przewietrzają pokoje — mówiła Rozalia, zachęcając Helenę, by zeszła do ogrodu. — Kiedyż, mówię pani, że nie ma nikogo!

Dnia tego cieplej jeszcze było niż kiedy. Grad strzał złotych dziurawił liście. Joanna, która stawała się silniejszą, przechadzała z dziesięć minut, oparta o ramię matki. Potem, zmęczona wróciła do swego koca, robiąc przy sobie małe miejsce dla Heleny. Obie uśmiechały się do siebie, żartując z tego, że tak siedziały na ziemi. Zefiryn, skończywszy gracować, pomagał Rozalii zbierać pietruszkę, rosnącą tu i ówdzie koło muru w głębi ogrodu.

Nagle wielki hałas podniósł się w domu; Helena zabierała się właśnie do ucieczki kiedy pani Deberle ukazała się na ganku. Była w podróżnej sukni, mówiła głośno i zdawała się być bardzo zakłopotana. Ale spostrzegłszy panią Grandjean i jej córkę, siedzące na ziemi, przed trawnikiem, podbiegła ku nim, zasypała pieszczotami i ogłuszyła gadaniem.

— Jakto! to wy!... Ah! jakżem szczęśliwa, że was widzę!... Uściskaj mnie, moja mała Joanno. Bardzo byłaś chora, nieprawdaż koteczko! Ale masz się już lepiej, rumianaś nawet. Ileż razy myślałam o tobie, moja droga! Pisałam do ciebie, otrzymałaś listy moje? Musiałaś przebyć

straszne chwile. Ale skończyło się szczęśliwie. Pozwolisz mi ucałować siebie?

Helena powstała. Musiała dać się ucałować i sama również odpłacić pocałunkiem. Pieszczoty te sprawiały jej dreszcz, jąkała przytem.

— Przebaczysz nam pani, żeśmy tak zagrabiły ogród.

— Żartujesz! — odrzekła Julia gwałtownie.— Czyż nie jesteś tutaj u siebie?

Opuściła je na chwilę, wbiegła na ganek i zawołała przez wszystkie pokoje otwarte:

— Piotrze, nie zapomnij czego, siedm skrzyń jest!

Ale natychmiast wróciła i opowiadała o podróży swojej.

— O, czas był cudowny! Wiesz, byliśmy w Trouville. A co było osób i to wszystko z najlepszego towarzystwa... Miałam gości, oh, gości... Papa był także z Pauliną przez dwa tygodnie. A jednak przyjemnie jest wrócić do siebie... Ah! zapomniałam powiedzieć ci... Ale nie, opowiem ci to później.

Nachyliła się, znowu pocałowała Joannę i, spoważniawszy — zapytała:

— Czy opaliłam się?

— Nic, nie widzę tego — rzekła Helena— patrząc na nią.'

Julia miała jak zawsze oczy jasne i bez wyrazu, pulchne rączki i ładną przyjemną twarzyczkę. Zawsze wyglądała równie młodo. Powietrze morskie nie naruszyło pogodnej obojętności jej. Zdawała się wracać z jakiejś wycieczki po Paryżu za sprawunkami, a na całej osobie jej było niby odbicie wystaw sklepowych. Pomimo to, okazywała się nadzwyczajnie uprzejmą, co żenowało Helenę tem więcej, że sama czuła się sztywną i niedobrą. Joanna nie poruszyła się z kołdry; podnosiła tylko swoją delikatną, chorą główkę i złożone rączki, jakby zziębnięte, trzymała na słońcu.

— Ah, nie widziałyście jeszcze Lucyana — zawołała Julia... Ogromny jest.

I kiedy przyprowadzono chłopca, którego panna służące obmywała z kurzu podróżnego, matka popychała go, okręcała, chcąc pokazać jak wygląda. Lucyan gruby, pucołowaty, opalony od wiatru, bo się bawił na brzegu morskim, wyglądał zdrów jak ryba i miał minę ociężałą trochę, a teraz rozkapryszoną, bo go myto. Źle był obtarty, policzek jeden miał wilgotny nawet, różowy od nacierania serwetą. Spostrzegłszy Joannę, zatrzymał się zdziwiony. Patrzała na niego z biedną swą chudą twarzą, bladą jak chusta, obok czarnych włosów, których pukle spadały aż do ramion. Piękne jej oczy rozszerzone i smutne zajmowały twarz całą; pomimo wielkiego upału drżała trochę i zziębnięte ręce wciąż wyciągała ku słońcu jak przed wielkim ogniem.

— I cóż! nie pocałujesz ją?—spytała Julia.

Ale Lucyan zdawał się jej obawiać. Zdecydował się nareszcie, ale ostrożnie, nadstawiając usta, by jak najmniej zbliżać się do chorej. Potem szybko cofnął się. Helena miała wielkie łzy w oczach. Jakże to dziecko zdrowo wyglądało! A jej Joanna tak się zmęczyła, obszedłszy tylko trawnik do koła! Były matki bardzo szczęśliwe! Julia nagle zrozumiała okrucieństwo swoje. Zaczęła się gniewać na Lucyana.

— Nieznośny jesteś.. Czy to tak należy się całować panienki?... Nie uwierzysz, moja drogo, jaki on zrobił się do niezniesienia w tem Trouville.

Mięszała się. Szczęściem dla niej, doktor nadszedł. Urwała sprawę, wykrzykując:

— Ah! Otoż Henryk!

Spodziewał się ich dopiero w wieczór. Ale wyjechała innym pociągiem. I długo tłumaczyła się, dla czego to zrobiła, lecz nie mogła jakoś wytłumaczyć się jasno. Doktor słuchał, uśmiechając się.

— Dość, że jesteście już. Nic więcej nie trzeba.

Milcząc, ukłonił się Helenie. Wzrok jego zatrzymał się chwilę na Joannie; potem, zakłopotany odwrócił głowę. Mała poważnie wytrzymała to spojrzenie i, rozplotłszy ręce, instynktownyn ruchem chwyciła matkę za suknię i przyciągnęła ją do siebie.

—Ach! zuch!—powtarzał doktor, podnosząc Lucyana i całując go w oba policzki. — Rośnie, że aż miło.

— No, a ja, zapominasz o mnie? — spytała Julia.

Przysunęła głowę. Henryk, trzymając Lucyana na jednem ręku, przechylił się ku żonie i pocałował ją. Wszyscy troje uśmiechali się do siebie.

Helena bardzo blada zaczęła mówić o odejściu. Ale Joanna nie przystała na to; chciała widzieć; wzrok jej powoli błądził od Deberle'ów do matki. Kiedy Julia nadstawiła usta do pocałowania mężowi, ogień błysnął w oczach Joanny.

— Za ciężki — rzekł doktor, stawiąc Lucyana na ziemi. A więc czas był dobry?... Widziałem wczoraj Maligno'na, opowiadał mi o swoim tam pobycie... Dałaś mu odjechać przed sobą?

— O, nieznośny on jest!— szepnęła Julia, spoważniawszy, z twarzą zakłopotaną.—Przez cały czas dokuczał nam.

— Twój ojciec spodziewał się dla Pauliny... Czy nie oświadczył się?

— Kto! on, Malignon? — zawołała zdziwiona i jak gdyby obrażona.

Potem, z miną znudzoną dodała:

— Dajże pokój, to szaleniec!... O jakżem szczęśliwa, że już jestem u siebie!

Tuż na pozór niby bez żadnej przyczyny nastąpił z jej strony wylew czułości, który zadziwiał zwykle przy takim charakterze. Przycisnęła się do męża, podnosząc ku niemu głowę swą. On, czuły i pobłażliwy, zatrzymał ją w uścisku przez chwilę. Zdawali się zapominać o tem, że nie byli sami.

Joanna nie spuszczała z nich oka. Blade jej usta drżały od gniewu, miała twarz kobiety złośliwej i zazdrośnej. Boleść, której doznawała tak była żywa, że musiała odwrócić oczy. W tej chwili spostrzegła w głębi ogrodu Rozalię i Zefiryna, którzy wciąż jeszcze szukali pietruszki. Zapewne dla tego, by nie przeszkadzać nikomu, wsunęli się w największy gąszcz ogrodu. Zefiryn zaczepiał Rozalię, ta, nic nie mówiąc, odpłacała mu klapsami. Joanna widziała między gałęziami twarz żołnierza, jak księżyc w pełni, bardzo czerwoną i śmiejącą się z wyrazem zakochanego. Popychali się wzajemnie i w miłosnem rozradowaniu zapomnieli o świecie całym. Słońce stało na samym zenicie, drzewa spały w ciepłej atmosferze, ani jeden liść nie ruszył się. Z pod wiązów wydobywał się tłusty zapach ziemi, której rydel nie dotykał nigdy. Płatki ostatnich róż herbacianych, jeden po długim spadały na ganek. Joanna z piersią wzdętą zwróciła wzrok na matkę; na widok twarzy jej zbolałej i niemej, z oczu jej strzelał wyraz najwyższego niepokoju; miała głębokie wejrzenie dziecka, którego rozpytywać nikt nie ma odwagi.

Pani Deberle zbliżyła się do nich wreszcie, mówiąc:

— Mam nadzieję, że będziemy się widywały... Ponieważ Joanna ma się dobrze, trzeba, żeby przychodziła tutaj codziennie.

Helena, szukając wymówki, zaczynała się już tłumaczyć, że nie chce ją męczyć... Ale Joanna szybko wmięszała się:

— Nie, nie, tak dobrze jest na słońcu... Przyjdziemy, pani. Zostawi tu pani miejsce dla mnie, nieprawdaż?

Doktor stał w tyle za żoną, Joanna z daleka uśmiechnęła się do niego.

— Doktorze, proszę powiedzieć mamie, że powietrze nie szkodzi mi.

Henryk zbliżył się; człowiek ten, oswojony z cierpieniem ludzkiem, zarumienił się z lekka dla tego, że dziecko to przemówiło do niego łagodnie.

— Zapewne — rzekł — świeże powietrze może tylko przyspieszyć powrót do zdrowia!

— A widzisz, mateczko, musimy przychodzić — rzekła ze ślicznem czułem wejrzeniem, a tymczasem łzy stały jej w gardle.

Piotr ukazał się na ganku. Siedmnaście pakunków pani już przyniesiono. Julia mówiąc, że jest brudna jak straszydło i że musi się wykąpać, wybiegła z ogrodu, za nią poszedł mąż jej i Lucyan. Kiedy matka z córką zostały same, Helena uklękła na kołdrze, niby dla zawiązania szalu koło szyi Joanny, i cichym głosem — rzekła:

— Nie gniewasz się już na doktora?

Dziecię powoli potrzęsło głową.

— Nie, mamo.

Nastało milczenie. Helena drżącemi rękami zdawała się nie módz zacisnąć szala. Joanna szepnęła:

— Dla czego on kocha innych?.. Ja nie chcę...

I spojrzenie ciemnych oczu stało się ostre, a małe rączki gładziły matkę po ramionach. Helena chciała krzyknąć na to, ale sama przestraszyła się słów, które cisnęły się jej na usta. Słońce zniżało się; obie wróciły do siebie.

Od tego dnia Joanna upierała się zawsze by iść do ogrodu, jak tylko usłyszała w nim głos pani Deberle. Chciwie słuchała plotek Rozalii o sąsiadach, troszczyła się o ich życie, czasami nawet wymykała się z pokoju i śledziła ich przez okno kuchenne. Na dole, zagłębiwszy się w małym fotelu, który Julia kazała przynosić dla niej z salonu, zdawała się śledzić rodzinę; z Lucyanem była zdaleka, niecierpliwiły ją pytania jego i zabawy, szczególnie kiedy doktor był przy tem. Wówczas wyciągała się w krześle, jak gdyby zmęczona i patrzała. Dla Heleny poobiedzia te były prawdziwą męczarnią. Wracała jednak do ogrodu, wracała wciąż, chociaż cała jej istota buntowała się przeciw temu. Za każdym razem, kiedy Henryk, wracając z miasta, całował Julię we włosy, serce jej ściskało się. A jeżeli chcąc ukryć wzruszenie, udawała, że się zajmuje Joanną, spostrzegała wówczas, że ta bledszą jeszcze była niż ona sama, ze swemi czarnemi oczami szeroko rozwartemi, z podbródkiem drżącym od wewnętrznego gniewu, Joanna znosiła męczarnie swoje. Były dnie, kiedy matka upadając na siłach, konała z miłości. odwracając oczy; Joanna stawała się wówczas tak ponura i złamana, że trzeba było odprowadzić ją na górę i do łóżka położyć. Mieniła się na twarzy i drżała, jak tylko spostrzegła, że doktor zbliża się do żony swej, ognistym

*

wzrokiem ścigała go wówczas, jak zdradzona kochanka.

— Kaszlę rano — powiedziała mu dnia jednego. — Trzeba, żeby pan przyszedł odwiedzić mię.

Deszcze spadły. Joanna żądała, by doktor znowu rozpoczął wizyty swoje do niej. Miała się jednak już daleko lepiej. Matka, dogadzając jej, musiała przyjąć dwa lub trzy zaproszenia na obiad do Deberle'ów. Dziewczynka, której serce tak długo rozdzierała ponura walka, zdawała się uspokajać teraz, kiedy nareszcie zupełnie wróciła do zdrowia. Pytanie swe powtarzała znowu:

— Szczęśliwa jesteś, mateczko?

— Tak, bardzo szczęśliwa, moja najdroższa.

Twarzyczka jej promieniała wówczas. Trzeba jej przebaczyć dawne niegrzeczności — mówiła. Wspominała o tem jako o rzeczy, zupełnie niezależnej od jej woli, jak o bolu głowy, któryby ją nagle schwycił. Coś burzyło się w niej, ona sama nie wiedziała co. Rozmaite myśli biły się z sobą, myśli nieokreślone, szkaradne sny, których nawet nie mogłaby powtórzyć. Ale to już minęło, wyzdrowiała teraz, i nigdy się już to nie wróci. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Wolter w stuletnią rocznicę jego śmierci przez Aleksandra Świętochowskiego. Warszawa, 1878. — Rousseau w stuletnią rocznicę jego śmierci, napisał Piotr Chmielowski. Warszawa, 1878.*)

Są to dwie broszurki okolicznościowe, napisane z powodu stuletniej rocznicy śmierci dwóch myślicieli, którzy przyczynili się potężnie do obalenia średniowiecznego porządku w Europie. Wolter uosabia nam wolność religijną, tolerancyą, w sprawie której zawzięcie walczył rozumowaniem, odwoływaniem się do szlachetniejszych uczuć serca ludzkiego i szyderstwem. Zwłaszcza tego ostatniego jeszcze dzisiaj nie mogą mu darować wyznawcy średniowiecznych zasad. W młodości swojej, sam na sobie doświadczywszy swawoli i dowolności ze strony arystokracyi, okazywał popędy demokratyczne, ale wraz z wiekiem utracał je i został wreszcie wolnomyślnym, humanitarnym arystokratą. Milionowy przytem jego majątek wygładzał mu drogę życiu. Francuskie możne i wykształcone społeczeństwo pogodziło się też z nim zupełnie i pod starość odurzało go kadzidłem pochlebstw. Wolter, kierujący się zimnym i praktycznym rozsądkiem, straszny był jako krytyk, oka którego nie łatwo uszła wszelka niedorzeczność i śmieszność, ale głębokiego poglądu nie miał i wyszydzając formę, nie dopatrzył nieraz treści. Zimny w sercu, rozpalał się wprawdzie wyobraźnią, ale uczuciem niezdolny był przejąć się krzywdą cudzą. Popełnił też niesprawiedliwość względem narodu naszego i względem Roussa. Wpływ jego u nas nie zawsze był dodatni. Wolteryanizm nasz, dość powszechny pomiędzy szlachtą w pierwszej połowie bieżącego stulecia, zasadzał się na popuszczeniu cugli swoim namiętnościom i wyszydzaniu dogmatów i obrzędów religijnych, nie był wypływem dążenia ku wolności umysłowej. Nieraz można było w jednej osobie spotkać wolteryanina i okrutnego pana względem swoich chłopów.

Zupełnie w innym rodzaju był Jan Jakób Rousseau, praojciec demokracyi europejskiej. Czuły aż do tkliwości, namiętnego temperamentu, w myślach swoich szedł za popędem sercowym. W krytyce bywał gwałtownym, nigdy szyderczym. Pisał z głębokiego przekonania i porywał tem ludzi. Kiedy nad Wolterem unoszono się przeważnie w wyższem towarzystwie, Rousseau stawał się ulubieńcem średnich i niższych klas. W chłopcu, który się puścił na awanturniczą wycieczkę, wyrabiała się zwolna demokratyczna świadomość. Zaczął już późno pisać, bo skończywszy czwarty krzyżyk. Pisma jego, przyjmowane z początku powszechnie z wielkiemi pochwałami, wkrótce zaczęły ściągać na niego prześladowanie. Możni odwrócili się od niego. Goniono go z miejsca na miejsce, aż wreszcie starcowi pozwolono pędzić ubogi żywot w Paryżu z warunkiem, że nic pisać nie będzie przeciwko istniejącemu społecznemu porządkowi. Wpływ Rousseau na nasz naród był potężny. Jego to uczniem — rzec można — był Staszic, który położył pierwsze fundamenta nowego demokratycznego stronnictwa u nas; jemu otwarcie hołdował nasz Tadeusz Kościuszko. P. Chmielowski dość obszerny ustęp poświęcił Uwagom jego nad rządem polskim, ale uwydatnił raczej ich ujemne niż dodatnie strony. Nie należy jednak zapominać o tem, że myśliciel francuski wyraźnie wskazał na główną przyczynę choroby rozprzęgającej nasz państwowy organizm i dał dobrą radę narodowi, skuteczność której stuletnie porozbiorowe dzieje dowiodły. Pozbawienie większej i zdrowszej części narodu praw obywatelskich — mówił on — oto przyczyna waszej słabości. Szlachetni Polacy — wołał — bądźcie ludźmi; wówczas będziecie szczęśliwi i swobodni; lecz nie pochlebiajcie sobie, byście nimi zostali, dopóki braci waszych w kajdanach trzymać będziecie. Tarczą waszą obronną — nauczał — niech będzie patryotyzm, a wrogowie was nie pokonają. Jeśli nie zdołacie uniknąć połknięcia, postarajcie się, by was nie przetrawiono. Wychowujcie dzieci w miłości ojczyzny, a więcej zyszczecie na tem, aniżeli uganiając się za zewnętrznym blaskiem narodów europejskich.

Przyznajemy, że przypomnienie tych wielkich myślicieli w chwili, kiedy Francya i Szwajcarya uroczyście święciły ich pamięć, jest słuszne i pożyteczne. Wolelibyśmy jednak, by ono miało formę więcej przemawiającą do publiczności, aniżeli ogólną, poglądową, jaką broszurom nadano P. S. K. w tymże samym czasie pisał o Wolterze i Roussie obszerny artykuł w *Bluszczu* („Dwaj myśliciele francuscy z XVIII. stul.), i przyznajemy się, ta rozprawa więcej się nam podoba od wymienionych w tytule wspomnień. U p. S. K. znajdujemy życiorysy, opowiedziane w żywy sposób, ocenę dzieł i bardzo trzeźwy ogólny pogląd na dziejowe znaczenie dwóch wielkich geniuszów Francyi. Jego też rozprawka czyni żywsze wrażenie, aniżeli ogólne poglądy pp. Świętochowskiego i Chmielowskiego, które nowego w niczem nie rzucają światła. Przytem p. S. K. słuszniej ocenił Roussa, aniżeli p. Chmielowski, którego krytyczną wadą jest zawsze chęć traktowania z góry.

P. Świętochowski ma tę przewagę nad p. Chmielowskim, że ze współczuciem oddaje hołd swemu bohaterowi, kiedy tymczasem p. Chmielowski zajął tak objektywne stanowisko, że jego okolicznościowa broszura ani rozgrzewa nas, ani też odstręcza od wielkiego myśliciela.

B. L.

Tydzień lwowski.

Lwów dnia 26. września.

(W) Narażam się na zarzut niepatryotyzmu austryacko-węgierskiego, ściągam na siebie niezadowolnienie c. k. prokuratoryi, a może i dozor policyjny odnośnych organów — jednak nie mogę zamilczeć o rozpoczęciu wojennych działań we Lwowie, a mianowicie cernowaniu pewnego zamku leżącego przy ulicy Kaleczej. Tak, szanowni czytelnicy, zamek ten obsadzony załogą komitetu egzaminacyjnego dla nauczycieli i nauczycielek do szkół wydziałowych i ludowych, już od tygodnia z wszelką odwagą wytrzymuje szturm licznego zastępu kandydatek do stanu nauczycielskiego, uzbrojonych we wszelką broń, jaką im pan Bóg, nauka i doświadczenie tysiącoletnie dostarczyły. Jeżeli ta nieszczęśliwa załoga ujdzie cało wśród ponawiających się co dnia ataków — miasto Lwów podobnie jak Warszawa dla powracających gwardyj z St. Stefano, urządzi jej bramy tryumfalne, a trzeszczące schody gmachu seminaryum nauczycielskiego przy ulicy Kaleczej posypie kwiatami.

Wystawcie sobie, dwieście trzydzieści pięć kandydatek do egzaminu jak jedna kobieta obdarzone wdziękiem młodości, tysiącami przebiegów, wymową idącą o lepsze z kartaczowem masakrowaniem nieprzyjaciela — opatrzone zasobem amunicyi ukrytej w głowach i fałdach eleganckich sukien pod postacią notatek, wyprutych arkuszy z różnych dzieł, a wreszcie z rezerwą stu przyjaciół i przyjaciółek czekających przed zdobywanym zamkiem — to siła nie do pogardzenia. A przeciw niej, mówiąc słowami Mickiewicza stoi.

..... Mała, najeżona.

Jak głaz bodzący morze reduta Ordona...

Dotąd rzeczywiście trzyma się ostro ta reduta i przy piśmiennych zadaniach pilnuje sokolim wzrokiem nieprzyjaciela, aby mu z po za obrębu sal egzaminacyjnych nie dostarczano sukursów. Ale, czy wytrwa dalej — zaręczyć nie możemy zwłaszcza gdy walka z piór przeniesie się na walkę językową...

Nie darmo szanowny komitet egzaminacyjny usadowił się przy ulicy Kaleczej — już taki wybór pola walki wskazuje, że nie obejdzie się bez rannych i bez komitetu dam zbierających składki na rzecz tych okaleczałych bohaterek przyszłej oświaty narodowej...

Nic też dziwnego, że wobec takiego faktu absorbującego wszelką ciekawość szanownych lwowianek, Sejm, Kulparków, milionowe pożyczki i różne nowelle gminne zeszły na drugi plan... W domu, na ulicach, i w ogóle na całej Chorążczyźnie o niczem się nie mówi i nie myśli jak tylko o zadaniach jakie były i jakie będą, to z niemieckiego, to z pedagogiki, to z matematyki... Ty gdzie siedzisz? — w tej a w tej sali... siadajmy razem... nie pozwolą.. proś tego a tego profesora... miałam dziewięć błędów... pozamykali korytarze... niegodziwcy... wody pić nie pozwalają... ja jednak dostałam kartkę... daję ci słowo widział.. widzisz jaki to zdrajca ten N. N.... obiecał, że będę razem z Marynią, która ma mi poprawić zadanie, a potem rozdzielili podług alfabetu...

Z tego wszystkiego zauważyliśmy, że kandydatki mają bardzo zafrasowane miny, a skutkiem tego zadania piszą co raz krzywiej, pomimo, że wszystkie rygi w mieście wykupiono,

a skutkiem czego niektóre komisye sejmowe musiały wstrzymać swoje czynności. To jednak jest pocieszającem, że ludowi naszemu nie zabraknie na długie lata nauczycieli i nauczycielek; w samym Lwowie przystąpiło do egzaminu przeszło siedmset kandydatów na apostołów przyszłej oświaty...

Żart odłożywszy na stronę, z przyjemnością notujemy, że nowa generacya kobiet z niekłamanym zapałem bierze się do pracy i nauki; nawet panienki zamożniejszych domów, takie, które nie będą potrzebowały na nauczycielskiej niwie szukać sobie utrzymania, przystępują do egzaminu, aby tylko mieć moralną satysfakcyą dojrzałości umysłowej i należytego wykształcenia. Nie możemy zaprzeczyć, że skala wykształcenia kobiecego, jest najlepszym probierzem oświaty przyszłej generacyi narodu, a sądząc z tego na co patrzymy, nie tracimy nadziei, że skala ta podnosi się coraz wyżej.

Sejm ciągnie dalej swoje ustawodawcze prace, lecz o ile nas wieści dochodzą, komisye po macoszemu obchodzą się z wielu projektami. Zły humor widać wszędzie, choć komisya lustracyjna rozwija energicznie swoje czynności, a sprawa kulparkowska najdotkliwiej leży jej na sercu... Publicystyka lwowska ma to do siebie, że lubi się czepiać jednego przedmiotu z zawziętością godną lepszej sprawy; tak też i ten Kulparków staje się dziś najulubieńszym przedmiotem do wycieczek noszących cechę już osobistej do dyrektora niechęci, którego bądź co bądź chcianoby się pozbyć.

Oglądaliśmy nadesłany w tych dniach z Monachium próbny okaz medalu ofiarować się mającego J. I. Kraszewskiemu w roku jubileuszowej działalności Jego literackiej... Medal ten roboty ziomka naszego p. Malinowskiego odznacza się nadzwyczaj trafnem uchwyceniem rysów szanownego jubilata, choć znawcy zarzucają mu zbytnią manierę modelowania włosów i brody. Zarzut ten jednak upadnie, gdy zobaczymy odbicie pod większem ciśnieniem uskutecznione niż je ręczna prasa dać może. Tymczasem publiczność nasza jakoś nie bardzo skwapliwie garnie się do składek, dlaczego komitet występuje do sejmu krajowego z petycyą, aby medal ten uznany został za dar narodowy Galicyi, a tym sposobem fundusz potrzebny na odbicie go ze złota, kraj dostarczył. Nie wątpimy, że wysoki sejm przychyli się do tego żądania, nie dla tego żeby zabraknąć miało funduszów składkowych, które z pewnością jeszcze w potrzebnej ilości nadpłyną, lecz żeby postanowieniem takiem nadać większą, niejako urzędową cechę ofiarawać się mającemu upominkowi. Zarzucali i zarzucają dotąd wrogowie nasi charakterowi polskiemu brak jedności i zgody gdy idzie o rzeczy publiczne, otóż uroczystość jubileuszowa dla J. I. Kraszewskiego oczywisty temu kłam zadaje... Tyle jednozgodnego uznania zasług w całej Polsce, mimo różnicy w opiniach przez różne stronnictwa co do tendencyi prac jubilata zaznaczanych, nie doczekał się nikt dotąd. Ani jeden głos nie odezwał się z najmniejszą opozycyą, lecz owszem cała prasa i cały naród złączyły usiłowania swoje, aby ten obchód uczynić jednym wielkim głosem ogólnego uznania i wdzięczności dla czcigodnego nestora literatury polskiej. Do tego nawet doszło, że obcy nam i nie bardzo życzliwi Niemcy, powołują rodaków swoich aby przyłączyli się do tego harmonijnego objawu uczuć polskiego narodu dla swego mistrza, czego pierwszy przykład dała Allegemeine Zeitung stawiając zasługi J. I. Kraszewskiego na piedestalu zasług europejskiego znaczenia.

Drugim dowodem uczczenia publicznego prac oddawanych sprawie narodowej, jest powszechny objaw godnego utrwalenia w pamięci kraju imienia zmarłego Leona księcia Sapiehy... Utworzony w tym celu komitet, postanowił ze składek publicznych utworzyć bursę dla kandydatów na nauczycieli szkół ludowych, w której biedniejsza młodzież znalazłaby bezpłatne pomieszczenie, opał i usługę podczas odbywanych studyów w tym kierunku Sprawę tę, której cały kraj przyklasnął, wzięli w swe ręce ludzie dający rękojmię, że potrafią ją w czyn zamienić, dlatego mamy nadzieję, że ofiarność publiczna łącząca w sobie dwa naraz szlachetnej tendencyi cele, poprze piękne zamiary komitetu.

* * *

(M.) Spółki pożyczkowe i zarobkowe, czyli jak je ktoś trafnie nazwał „banki niebogatych ludzi,“ wyrabiają się powoli w naszym kraju w potęgę finansową. Wedle świeżo wydanego przez dra. Alfreda Zgórskiego rocznika, którego daty sięgają po dzień 30. czerwca br., ogólna liczba tych drobnych zakładów pieniężnych w Galicyi przekroczyła już liczbę stu, mianowicie 68 spółek z nieograniczoną poręką członków, 27 zarejestrowanych przez sądy handlowe z ograniczoną poręką, a wreszcie 7 spółek nie protokołowanych — razem 102 spółki, więcej o 9 niż było ich z końcem r. 1876.

Liczą one 34.043 członków, którzy wpłacili ogółem jako wkładki udziałowe i na fundusze rezerwowe złr. 1,953.807 58 ct. wa. Oprócz tego operowały one poruczonym sobie kapitałem obcym w sumie złr. 3,780.522 19 ct. w. a.

Kapitały obce, któremi rozporządzały spółki oparte na solidarnej poręce członków, pochodziły częścią z drobnych wkładek oszczędności, częścią z pożyczek od osób prywatnych, częścią z lokacyj funduszów publicznych, częścią zaś z pożyczek od innych zakładów kredytowych. Przytoczymy szczegółowo cyfry poruczonych stowarzyszeniom kapitałów obcych, gdyż najlepszą dają miarę zaufania publicznego do tych instytucyj:

Wkładki oszczędności wynosiły	złr.	2,666.077·82
Osoby prywatne pożyczyły towarzystwom . . .	„	63.830·44
Wydział krajowy ulokował .	„	22.094·60
Rady powiatowe ulokowały .	„	115.924·11
Gminy ulokowały . . .	„	81.349·02
Bank narodowy pożyczył .	„	142.702·—
Krakowskie towarz. wzajemnych ubezpieczeń . . .	„	181.703·—
Lwowska kasa oszczędności .	„	269.308·—
Prowincyonalne kasy oszczęd.	„	79.701·70
Towarzystwa zaliczkowe: gorlickie, krakowskie „wzajemnego kredytu,“ lwowskie, samborskie i stanisławowskie wypożyczyły innym spółkom	„	89.669·35
Bank rustykalny pożyczył spółkom	„	14.912·33
Towarz. kredytowe ziemskie we Lwowie	„	21.586·07
Bank kredyt. we Lwowie .	„	24 366·75
Inne zakłady w drobnych kwotach	„	6.297·—
Razem	złr.	3,780.522·19

Suma udzielonych przez stowarzyszenia kredytowe w ciągu roku 1877 pożyczek wynosiła złr. 13,030.564·46 w. a., miały czystego zysku złr. 167.284·82 w. a. Ogólna suma ich obrotów kasowych wynosiła złr. 39.611.053·06 w. a.

Spółki przemysłowe i handlowe utrzymują jedną drukarnię wielką we Lwowie, fabrykę zapałek, litografię, biuro inżynierskie, piekarnię, skład wiktuałów, kantor posługaczy i komisowy, wielki skład mebli i dwa składy skór. Suma ich obrotów kasowych wynosiła w roku 1877 złr. 939.207 w. a.

W gronie członków spółek finansowych opartych na zasadzie wzajemności i solidarnej poręki członków znajduje się 5915 rękodzielników i przemysłowców, 1806 kupców i handlarzy, 76 właścicieli fabryk, 13696 rolników, 932 właścicieli i dzierżawców większych posiadłości, 4071 umysłowo pracujących.

* * *

(M.) Sejmowa komisya kultury krajowej zajmuje się obecnie projektem do ustawy, która miałaby zaprowadzić przymus obsadzania dróg drzewami. Ponieważ mamy w naszym kraju przeszło 40.000 kilometrów dróg gminnych powiatowych i krajowych (nie licząc dróg rządowych, które już są poobsadzane drzewami), to jeżeliby obowiązek obsadzania dróg publicznych drzewami rzeczywiście nabrał mocy ustawy krajowej, to z czasem wzmógłby się majątek społeczny prowincyi naszej o cztery miliony drzew, licząc oddalenie jednego drzewa przydrożnego od drugiego po 20 metrów po obu stronach drogi. Uchwalenie tej ustawy stanowiłoby krok znakomity w usiłowaniach podźwignienia kultury krajowej.

* * *

(M.) Wedle urzędowego sprawozdania przedłożonego przez Wydział krajowy Sejmowi przed stawiał się stan publicznych szkół ludowych w r. 1877 jak następuje:

Szkół wydziałowych było 15, zorganizowanych podług przepisów ustawy szkolnej szkół pospolitych 2384, niezorganizowanych dotąd szkół wiejskich 416, szkół wyznaniowych z charakterem szkół publicznych 87, prywatnych 12, szkół klasztornych i prywatnych bez cechy zakładów publicznych 85. Wszystkich przeto szkół ludowych było z końcem r. 1877 ogółem 2990, t. j. o 27 więcej niż w r. 1876. Frekwencya szkolna, zwłaszcza w tych szkołach, które posiadają należycie uzdolnionych nauczycieli, wzmaga się tak dalece, że w znacznej liczbie tych szkół oprócz posad systemizowanych tworzyć musiano posady tymczasowe, i równorzędne klasy. W roku szkolnym 1876/7 uczęszczało przeszło 300.000 dzieci do szkół publicznych, czyli 38% wszystkich obowiązanych. W porównaniu z rokiem poprzednim wzmogła się frekwencya o 4·29% — zawsze jednak pozostaje faktem, iż 62% młodzieży znajdującej się w latach szkolnych żadnej nauki nie pobiera.

* * *

(M.) Oba wnioski kredytowe Wydziału krajowego — tak wniosek o zaciągnięcie pożyczki na podźwignienie lichwą zrujnowanej ludności rolniczej, jak niemniej także projekt drugiej pożyczki krajowej na cele melioracyjne, podobno wcale nie mają widoków powodzenia w Sejmie. W komisyi oba te projekta zostały już odrzucone

w zasadzie. Nie omieszkamy obznajomić czytelników z motywami przytaczanymi przez przeciwników wniosków wydziałowych, którym tylko tyle można zarzucić, iż jędrne i praktyczne w najpiękniejszem znaczeniu tego wyrazu myśli obejmują w postaci niewykonalnych wniosków. Ubolewać jednak należałoby, gdyby reprezentacya kraju — jak mówią Niemcy — „wraz z kąpielą i dziecię wylała," gdyby ona, oświadczając się przeciwko nie dość szczęśliwemu może sformułowaniu wniosków wydziałowych, odrzuciła tym sposobem także i arcyzbawienną myśl, która stanowi jądro owych wniosków. Kraj ma prawo spodziewać się po Sejmie *dodatnich* uchwał w tak ważnych dla rozwoju społecznego kwestyach. Jeźli Wydział krajowy niepraktyczne proponuje środki do ich załatwienia; to wolno te wnioski krytykować, wolno je odrzucić - lecz ostatecznie na tem nie wypada kończyć roboty. Nam się zdaje, iż najwłaściwszą byłoby rzeczą *coś lepszego wymyśleć* niż zaproponował Wydział krajowy w uczciwej gorliwości o dobro kraju.

TEATR.

(Rodzina Fourchambault, komedya w pięciu aktach przez Emila Augiera.)

Rodzina Fourchambault ma być typem bogatej mieszczańskiej rodziny francuskiej, wychowanej w zasadach, które już prawie od dwóch pokoleń stały się tradycyjnemi: „Róbcie pieniądze i używajcie." Pod względem zasad moralnych wystarcza jej sam pozór przyzwoitości, pod którym kryć się może najgłębsza niemoralność. I tak pani Fourchambault uważa to za rzecz bardzo naturalną, że jej syn Leopold umizga się i przesyła bileciki miłośne pannie Maryi Letellier, kreolce, czasowo bawiącej w domu Fourchambault, pomimo, iż nie myśli wcale żenić się z ubogą dziewczyną. Gotowa także wszystkich sposobów użyć, aby wydać córkę swoją Blankę za syna prefekta, młodzieńca z wytartem zdrowiem i inteligencyą, ale bogatego i barona.

A pan Fourchambault? Jest to typ niedołęgi, zbierającego się czasem na stanowczość, żeby tem śmieszniej po tem kapitulować. Ten niedołęga jednak był kiedyś za młodu jedną z głównych postaci pewnego dramatu. Kochał guwernantkę, bawiącą w domu ojca, był przez nią kochany, miał się z nią żenić, ale potwarz zręcznie rzucona przez ojca na ukochaną była powodem zerwania. Fourchambault ożenił się z dzisiejszą panią Fourchambault, która mu wniosła nieustannie wypominane 800.000 franków, a guwernantka, za dumna aby się chcieć oczyszczać z potwarzy, usunęła mu się z oczu — szkoda tylko że za późno — została bowiem wkrótce matką nieprawego syna.

Całe życie pani Bernard jest ekspiacyą tej słabości. Zupełnie oddana synowi, wychowała go na szlachetnego człowieka i dzielnego przemysłowca, który się milionowej dorobił fortuny. Nie wie on kto jest jego ojcem, domyśla się dopiero wtedy, gdy matka na wiadomość o zachwianiu się bankierskiego domu Fourchambault, każe synowi ratować go swymi pieniądzmi Bernard wchodzi do spółki z domem Fourchambault, dźwiga go i wywiera dobroczynny wpływ na całą rodzinę. Nawet próżna i rozrzutna pani Fourchambault, która poczuwszy żelazną dłoń Bernarda, powiada: takiego mi potrzeba było męża! nawet pani Fourchambault pod wpływem spólnika mężowskiego zaczyna pozować na oszczędną i poświęcającą się żonę. Ale to tylko poza, wartość moralna tej kobiety nie zmieniła się wcale, co się okazuje w jej stosunku do Maryi Letellier. Wnioskując z kreolskiej swobody, z jaką Marya traktuje nadskakiwania i umizgi Leopolda, pani Fourchambault ciągle jest tego przekonania, że Marya jest kochanką Leopolda i nawet naiwnie wyznaje to panu prefektowi, który szukając tylko sposobności do zerwania układu małżeńskiego z domem Fourchambault, natychmiast tę skandaliczną wiadomość puszcza w obieg. Honor Kreolki zagrożony, Bernard, który ją kocha, ale przekonany o tem, że się nikomu nie może podobać, nie myśli nawet o wzajemności, Bernard podejmuje się zmusić Leopolda do zaślubienia Maryi. W gwałtownej rozmowie sam na sam Leopold obrażony do żywego daje policzek Bernardowi, który wytęża całą siłę woli, aby zapanować nad wybuchem wrodzonej gwałtowności. „Dziękuj Bogu, że jesteś moim bratem," te słowa rozwiązują przed Leopoldem tajemnicę ich wzajemnego stosunku i braterski pocałunek Leopolda, który w gruncie ma być dobrym chłopcem, zmazuje obelgę policzka. Leopold już gotów poślubić Maryą, ale Marya czeka tylko uroczystego oświadczenia, aby odrzucić jego rękę, i tym sposobem zadać kłam fałszywym a ubliżającym jej wieściom. Krótka ale ładna jest scena ostatnia, w której Bernard wobec Maryi dowiaduje się z ust Leopolda, że Kreolka tylko jego kocha.

Tendencya, zwykle wybitnie zarysowująca się w utworach Augiera, w niniejszym da się streścić w następujący sposób: Można być ślubną, najprawowitszą małżonką, a jednak mniej godną szacunku od kobiety, którą społeczeństwo odtrąciło, ponieważ zbłądziła przez miłość; można być bardzo swobodną w obcowaniu z mężczyznami, można im pozwalać na wyraźne zalecanie się, a przecież być stokroć moralniejszą od niejednej z tych, co się najbojaźliwiej trzymają przepisów towarzyskiej przyzwoitości. Jako żywy dowód mamy tu panią Fourchambault i panią Bernard, pannę Letellier i Blankę.

Że tak być może i że tak bywa na świecie, na to zapewne każdy się zgodzi. Ale jeżeli okazanie urzędowej moralności i przyzwoitości w jej właściwem świetle. bezwątpienia pożytecznie oddziaływa na widza, to idealizowanie błędu, jakiego się bądź co bądź dopuściła pani Bernard i takiej swobody towarzyskiej, jaka tylko Kreolkom podobno bywa do twarzy. może mieć wpływ bardzo wątpliwej wartości.

P. Augier, a wraz z nim jego ziomkowie piszący, każą zawsze zapominać widzowi lub czytelnikowi, że obok żon prawowitych a zimnych i obłudnych, i obok nielegalnych, czułych, pełnych poświęcenia, mogą być żony prawowite i czułe, prawowite i kochające, prawowite i pełne poświęcenia. Nie, o takich żonach ani romans, ani komedya francuska nic nie wie, są one dla niej za mało interesujące.

Co się tyczy artystycznej strony utworu, to i ta jest słabszą w rodzinie Fourchambault, niż w innych komedyach Augiera. Budowa ciężka i mętna, brak jej przezroczystości, brak wyraźnych linii, wiązania słabe, efekta wyszarzane, a co najgorzej najważniejsza scena, stanowiąca główny zwrot w intrydze, scena, w której pani Fourchambault potwierdza przypuszczenia prefekta, dotyczące stosunku pomiędzy panną Letellier a Leopoldem, scena ta wyniesioną jest za kulisy, ponieważ autor widocznie nie mógł sobie z nią dać rady.

W ogóle tedy najnowsza komedya pana Augier nie usprawiedliwiła sławy, którą jej zrobiono po pierwszem przedstawieniu w Paryżu. Jest to mozolny zlepek, nie bez szczęśliwych ustępów, ale zawsze zlepek. Talent Augiera ma się widocznie ku zachodowi.

Najlepsze siły teatralne brały udział w przedstawieniu. P. Ładnowski wybornie wcielił w siebie postać namiętnego, ale umiejącego panować nad sobą Bernarda; panią Bernard była pani Aszpergerowa, panią Fourchambault pani Nowakowska, panną Letellier pani Ładnowska, która już dawniej w pokrewnych rolach (naprz. w Dorze Sardou) grywała z wielkiem powodzeniem. *J. T.*

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Amicis de Edmund.* Hiszpania. Wspomnienia z podróży. Z piątej edycyi oryginału włoskiego, przekład M. Siemiradzkiej. 8ka, str. 518. Warszawa 1878 r. 1.70.

— *Chmielowski Piotr.* Rousseau w stoletnią rocznicę jego śmierci. 8ka, str. 46. Warszawa, 1878. 50 ct.

— *Dzieduszycki Wojciech.* Aurelian. Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego. 8ka, str. 188. Lwów, 1879 r. 1.60.

— *Goszczyński S.* Król zamczyska, powieść, wydanie drugie. 16ka, str. 111. Lwów, 1879. (Biblioteki Mrówki tomik 10.) 35 ct.

— *James Henryk.* Amerykanin, powieść, przekład z angielskiego A. Callier. 2 tomy, 8ka, str. 221, 233. Lwów, 1879. 3.20.

— *Jeske August.* Początki czytania zawierające: Opisy, powiastki, bajki i zagadki z drzeworytami. 8ka, str. 68. Warszawa, 1879. 35 ct.

— *Kalendarz* do użytku farmaceutów i chemików na rok 1879. Oprawny.

— *Kraszewski J. I.* Sąsiedzi, powieść z podań szlacheckich z końca XVIII. wieku. 2 tomy. 8ka, str. 198, 199. Warszawa, 1878. 3 złr.

— *Kraszewski J. I.* Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Wydanie drugie, 2 tomy, str. 244, 239. Warszawa, 1878.

— *Librowicz Z.* Z wrażeń Kapociarza. 8ka, str. 152. Warszawa, 1878. 1 złr.

— *Śpiewnik polski* zeszyt 3. 4. po 20 ct., na lepszym papierze 30 c. Prenumerata na 12 zeszytów 2 złr. Na lepszym papierze 3 złr. Z przesyłką o 24 ct. więcej.

— *Świętochowski.* Wolter, w stuletnią rocznicę jego śmierci. 8ka, str. 42. Warszawa, 1878. 50 ct.

— *Stroka W.* Nieboska komedya i niedokończony poemat, studyum. 8ka, str. 116. Kołomyja 1878. 84 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Znany naturalista polski *Benedykt Dybowski*, b. profesor uniwersytetu warszawskiego przed powstaniem, wrócił z Syberyi i w tych dniach odwiedził Lwów. Z przykrością musimy dodać, że ani Warszawa, ani Kraków i Lwów nie dołożyły starań, aby pozyskać p. Dybowskiego, który zmuszony jest wracać aż do Kamczatki, gdzie wprawdzie może z równym skutkiem pracować dla nauki, ale już kraj bezpośrednio z jego znakomitych zdolności i rozległej wiedzy, nie będzie miał sposobności korzystać. Cóż za korzyść z tego, że mamy Akademię nauk w Krakowie, jeżeli ona jest tylko szaflikiem dla ludzi pewnych przekonań religijno-politycznych, a nie ogniskiem światła jakby oczekiwać należało.

*** Opuścił już prasę zeszyt IV. *Śpiewnika polskiego*, który zawiera wybór piosnek miłośnych.

*** *Król Zamczyska* Seweryna Goszczyńskiego wyszedł w nowem wydaniu nakładem Księgarni Polskiej.

*** *Dziejów wielkich odkryć geograficznych* Oskara Peschla zeszyt V. wyszedł z druku.

*** Prof. Franciszek Habura wydaje w Tarnowie zupełny przekład Salustjusza z komentarzami.

*** „Przemysł Królestwa na wystawie paryzkiej roku 1878," — oto tytuł wydawnictwa mającego się wkrótce ukazać.

*** P. Ludwik Wojno. inspektor szkoły technicznej kolei warszawsko-wiedeńskiej. przygotowuje przekład renomowanego podręcznika Brossiusa i Kocha: „Szkoła maszynisty."

*** Dramat p. Rapackiego p. t. „Maćko Borkowicz" wyszedł z druku nakładem autora.

*** Jako dodatek do „Gazety sądowej" wychodzić będzie w zeszytach półrocznych: „Jurysprudencya departamentów cywilnych izby sądowej warszawskiej."

Będzie to przedruk z samej „Gazety."

*** Gazeta „Wiek" rozpoczęła w odcinku druk nowej powiastki autora „Kłopotów starego komendanta" p. t. „Sprawa u wójta."

*** W ostatnim miesiącu „Biblioteki warszawskiej" znajdujemy ciekawą podług Bertiego opracowaną przez dr. Wołyńskiego pracę: „Kopernik i przygody jego systematu w Italii w drugiej połowie XVI-go i pierwszej XVII wieku."

*** „Biesiada literacka" zamieszcza od pewnego czasu krótkie powiastki Michała Bałuckiego pod tytułem: „Z księgi pamiątek."

Są to nadzwyczaj milutkie obrazki, kreślone piórem dobrego obserwatora, ożywione uczuciem a często prawdziwie poetycznem tchnieniem w rodzaju *Petits contes* Daudet'a, tylko że wybitną swojskością tematów i kolorytu nacechowane.

Utalentowany powieściopisarz znalazł dla siebie w tej drobnej formie nowy materyał do zużytkowywania niewyczerpanych pomysłów.

*** „Niwa" w drugim zeszycie już drukuje ciekawe studyum dra Rothego o „Królu Learze" ze stanowiska psychyatryi.

*** „Bluszcz," odznaczający się jak zawsze staranną redakcyą i rozmaitością artykułów, rozpoczął druk obszerniejszej pracy Władysława Chodkiewicza o „Antonim Malczewskim," autorze „Maryi."

Praca ta zapowiada się nader zajmująco i świadczy z samego początku o obfitości nagromadzonego materyału i sumienności studyów.

*** „Tygodnik powszechny" przyozdobił się w ostatnim numerze ryciną przedstawiającą „kielich srebrny" modelowany przez autora „Lirenki" a ofiarowany Piusowi IX przez duchowieństwo polskie.

W tym samym numerze znajdujemy też początek nader cennej spuścizny po ś. p. Julianie Bartoszewiczu, historyczną rozprawę o Annie Jagiellonce."

Jest to jedna z tych prac, z któremi niestety coraz rzadziej spotykamy się w literaturze.

*** „Najazd o Cześnikównę," powieść Waleryana Przyborowskiego drukowana w „Gazecie kieleckiej," wyszła obecnie w osobnej odbitce.

*** „Rocznik literacki warszawski" za rok 1878/9 przygotowany jest do druku i wkrótce opuści prasę.

*** Nowa powieść J. I. Kraszewskiego. Druk jej w Tygodniku Powszechnym rozpoczęty zostanie wkrótce pod tytułem: „Ładny Panicz."

*** P. Simonenko, profesor statystyki i ekonomii politycznej w warszawskim uniwersytecie, ogłosił drukiem odczyt publiczny, który miał w klubie ruskim ubiegłej zimy.

Rzecz ta nosi tytuł: „Królestwo Polskie w porównaniu z Księstwem Poznańskiem oraz Galicyą pod względem ekonomicznym, umysłowym tudzież moralnym, od czasu reform włościańskich, dokonanych w rzeczonych prowincyach w roku 1848, 1850 i 1864."

*** *Gwiazda.* Tygodnik poświęcony naszym sprawom ekonomicznym, nauce i literaturze. Wychodzi co sobotę w Tarnowie. Nr. 1. opuścił prasę dnia 13. września. Zawiera: Prowincya. — W roku 1863, fragment powieści. — Cześć ci Polko, wiersz. — Do sejmu. — O stowarzyszeniu rękodzielników Gwiazda w Tarnowie.— Kongres leśny.—Wiadomości z kraju.— Wiadomości kościelne. — Tydzień tarnowski. — Publiczne głosy. — Najnowsze dzieła polskie. — Nekrologia. — Rozmaitości.

Komunikacye.

*** W sferach politycznych rosyjskich zajmują się wielce kwestyą perskiej drogi żelaznej; chodzi mianowicie o połączenie koleją żelazną Tyflisu z Teheranem. Utworzyła się już kompania ze znacznym kapitałem, która posłała przedstawiciela swego do szacha. Poselstwo rosyjskie w Teheranie otrzymało też polecenie starać się wszelkimi sposoby urzeczywistnić ów projekt. Powodzenie tych zabiegów jest prawdopodobne, albowiem warunki, podane przez Rosyan, starających się o koncesyą, nie są bynajmniej uciążliwe dla skarbu szacha. Zresztą polityczne oraz strategiczne motywa, stanowiące pobudkę do rzeczonego projektu, są tak ważne, że w Petersburgu postawiono w ostatecznym razie przeprowadzić wyż wymienioną drogę żelazną nawet całkiem za pieniądze rosyjskie.

*** Droga indo-europejska. Jeszcze w 1875 roku, na jednem z posiedzeń towarzystwa geograficznego w Paryżu, francuski minister komunikacyi, główny pomocnik Ferdynanda Lessepsa, podał projekt, odnoszący się do połączenia drogą żelazną Europy z Indyami. Długość owej kolei żelaznej, według obliczeń ministra, miała wynosić z Paryża, przez Warszawę, do Orenburga 4.500 wiorst, z Orenburga do Peszaweru 2.640 wiorst i z Peszaweru do Kalkutty 2.520 wiorst, czyli z Paryża do Kalkutty 9.660 wiorst.

Obecnie w jednym z ostatnich numerów „Dziennika Ministeryum Komunikacyi," została zamieszczoną bardzo zajmująca praca inżyniera komunikacyi, pana Chodźki, zawierająca projekt przeprowadzenia wyż wymienionej drogi żelaznej z Paryża, przez Warszawę, Tyflis oraz Peszawer do Kalkutty, na przestrzeni 8.940 wiorst; droga więc ta byłaby krótszą od poprzedniej o 720 wiorst.

Według projektu pierwszej drogi żelaznej, na Orenburg, przebywając 40 wiorst w godzinę, trzeba byłoby płacić za przejazd z Paryża w ciągu 10 dni 1.100 franków od osoby: jazda zaś drogą żelazną, wskazaną przez pana Chodźkę, trwałaby tylko 9 dni, a przytem koszta wynosiłyby mniej, a mianowicie 990 franków.

Dotychczasowa droga morzem z Paryża do Kalkutty odbywa się w przeciągu 20 dni i kosztuje 2.200 franków.

Przypuszczając, iż przeprowadzenie drogi żelaznej z Paryża do Kalkutty wcześniej czy później musi się urzeczywistnić, inżynier Chodźko projektuje zbudowanie teraz kolei żelaznej z Tyflisu do Władykaukazu.

W obu projektach wielkiej drogi indo-europejskiej Warszawa jest uwzględnioną, jako jedna ze stacyj centralnych, a nawet dla Europy stanowiłaby główną stacyą tak dla swego położenia geograficznego, jak i dla tego, że począwszy od Warszawy na wschód zmienia się szerokość relsów i towary muszą tu ulegać przeładowywaniu.

Nowy przeciwnik Kopernika.

Słynny pastor Knack, który zyskał przed kilkunastu laty powszechny rozgłos za napaść na system Kopernika, znalazł współzawodnika swej sławy, także w księdzu luterskim. Jest nim p. Jan Grosse, pastor wolnej ewangelicznej gminy betleemskiej. W nr. 6 tegorocznego *Chemnitzer Lutteraner* zamieścił on zjadliwy artykuł pt. „Słońce stój", w którym zaprzecza ruchowi ziemi w sposób komiczny a zajmujący, jak skoki tygrysa po za żelazną kratą. który widza pochwycić nie może. Jako wzór tego stylu teologicznego podamy tu kilka ustępów.

„Rozum ludzki wynoszący się po nad Boga, a w bożych sprawach zupełnie przez dyabła opętany, w ubóstwianiu samego siebie nie wzdraga się przed oskarżeniem o kłamstwo słowa Bożego. Tak, co Bóg w księdze Jozuego roz. 10 w. 12 i 13, opowiada, to niby oświeceni mędrcy wieku 19 uważają za kłamstwo. Ale to nietylko obraza Boga, ale i szaleństwo, zaprzeczać rzeczywistemu biegowi słońca. Nic bowiem pewniejszego nad to, że słońce sobie chodzi, co każdy człowiek, posiadający pięć zmysłów, codziennie własnemi oczyma widzieć może. Słońce wschodzi i zachodzi (Kaz. Sal. 1.5). O tym prostym fakcie nie mogą nawet zapomnieć szydercy słowa Bożego. I oni jeszcze mówią o wschodzie i zachodzie słońca... Idzie tu o pytanie, czy słońce czy ziemia bieży. Dla chrześcianina rzecz ta jest słowem Bożem stanowczo rozjaśnioną. Chrześcianin wie, że nawet najułudniejszy wykład biegu ziemi musi być fałszywym. W rozumowaniu astronoma tkwić musi gdzieś błąd. Bóg bowiem, biblia, kłamać nie mogą. Ale dowód istotny, ponieważ jest niemożliwym, nie został dotąd podanym. Na podstawie jedynie dowolnych przypuszczeń opierają się ci, co powstają przeciw prawdzie i rzeczywistości przez Boga stwierdzonej... Ziemia stoi wprawdzie zupełnie spokojnie, ale jest po większej części zamieszkałą przez ludzi, którzy patrzą a nie widzą. Ponieważ tańczą na błazeńskim sznurze swego rozumu, nieprzyjaznego Bogu, wydaje im się, jak gdyby ziemia wirowała w przestrzeni światowej. Atoli oni sami popadli w szaleństwo, i jeżeli dosyć rychło nie wytrzeźwieją, to ostatecznie w piekle dojdą do świadomości. Słynny bałwochwalca Aleksander Humboldt, znaczący u niektórych tak zwanych chrześcian więcej niż sam Bóg, raz jednak wywnętrzył swe serce i oświadczył, że on osobiście jest przekonanym, że system Kopernikowy jest fałszywym. Tu przytacza p. Grosse słowa Humboldta niby wyrzeczone do dra Schöpffera, również autora pamfletów przeciwkopernikowych.

„Ale niewypowiedzianie wielką hańbą i wstydem jest, że tak zwani kaznodzieje luterscy, a nawet profesorowie luterscy, którzy wykształcać mają kaznodziejów dla prawowiernego kościoła luterskiego, pozostawiają na boku biblię i biją czołem przed nauką nowożytną — raczej modną (tu w niemieckim gra słów — *modern, módern*). Pomimo tego w ustach ich brzmi omłócone niestety wrażenie „słowo boże" na oznaczenie biblii. Ale biblia i słowo boże to jednak dla nich rzeczy różnoznaczne. Tak np. obaj mniemani obrońcy (apolegeci) chrześcianizmu, profesorowie Luthardt w Lipsku i Zerschwitz w Erlangen są kopernikanami, t. j. karcą Boga za kłamstwa. który w swojej nienaukowej biblii trzyma się jeszcze dziecinnego „obłędu," że słońce bieży, a ziemia jest nieruchomą. W sprzeczności z tymi dwoma burzycielami słowa biblijnego oddali w ostatnich czasach na tym punkcie hołd Panu Bogu licencyat Ströbel w Zeitz i pastor Knak w Berlinie."

Dziwić się w istocie należy, że pismo nawet teologiczne podobny wybryk zamieszczać może.

Artykuł pastora Grossego przypomina nam wypadek, który zasługuje na przytoczenie. Za czasów istnienia szkoły rabinów w Warszawie kandydaci na rabinów obowiązani byli składać tam egzamin z nauk świeckich. Otóż jeden z nich, zapytany o stosunek ziemi do słońca, odpowiedział wprawdzie, że ziemia się obraca, ale natychmiast wzniosłszy ręce do nieba, zawołał: Boże wszechmocny wybacz, że skłamałem, nie wierzę w to, aby się ziemia obracała, ale zmuszony byłem tak powiedzieć, bo inaczej nie mógłbym zostać rabinem!

Ileż to wieków potrzeba, aby zdobycz naukowa mogła istotnie umysły ogółu przeniknąć.

ROZMAITOŚCI.

*** Przed zwyczajnym trybunałem lwowskim stoi sławny Jossel Sunik z Blacharskiej ulicy. Przed oczami widzów przesuwa się serya białych murzynek, nieszczęśliwych wdów, co swoje nędzne dochody na pastwę mu oddawały. Otilia Stompe pożyczyła od niego 8 zlr. i przez kilka lat opłacała od tej pożyczki miesięcznego procentu 1 zlr. 74 ct. w a. (!!!) z obowiązkiem jeszcze zwrotu kapitału 10 zlr. Mały jej syn Karol opowiada ku ogromnemu zdumieniu i oburzeniu wszystkich fakt niesłychany, iż matka jego podejmując każdego 2. dnia miesiąca swą skromną miesięczną płacę, jego w „zastaw" przez czas posiadania w swych rękach arkusza płatniczego oddawać musiała. Wyjść mu nigdzie przez ten czas nie wolno było. Nawet gdy wychodził na stronę to szła za nim Ruchla Sunik lub ich córka.

W taki to sposób napełniał się cały pokój jeden Sunika każdego 2. dnia w miesiącu żywemi „zastawami." Wdowa Karolina Drescher od pożyczki 4 zlr. płaciła miesięcznie nie więcej tylko 1 zlr. i córkę dawała w „zastaw" itd. Kientami bowiem Sunika były wdowy, które nic prócz dzieci najczęściej nie miały.

Na fizyognomii tego filantropa gra piekielny spokój, czasem tylko konwulsyjne ściągania ogromnych brwi, wskazują, że pijawka ta okrutna cisnęłaby piorunem w nieszczęsne ofiary, co przed sądem zeznają. Trybunał skazał go za przestępstwo ustawy lipcowej przeciw lichwie na grzywnę 200 zlr. Zauważać tu jeszcze wypada, że u Sunika znaleziono cały ogromny skład „arkuszy płatniczych" i innych zastawów.

*** *Pożyteczny wynalazek.* Jest to kostium kąpielowy, na pozór zupełnie podobny do dawniej znanych, ale posiadający jeszcze jedną szczególną, pożyteczną własność a mianowicie że jest jednocześnie przyrządem do pływania, zabezpiecza więc kąpiącego się od utonięcia. Kostium ten ma podszewkę z drzewa korkowego, co sprawia, że kąpiący się nie może iść na dno. Wprawdzie znane są już od dawna pasy zabezpieczające, robione z tego samego materyału, ale są one niewygodne i niezgrabne, podczas gdy nowo wynalezione kostiumy w niczem się nie różnią na oko od zwyczajnych ubrań kąpielowych. Ciężar ich jest również niewielki, ponieważ kilogram drzewa korkowego wystarcza do utrzymania jednego człowieka na powierzchni wody.

Wynalazek ten zawdzięczamy fabrykantom korków do koniaku. We wszystkich znaczniejszych miejscach kąpielowych, ubrania te będą już wkrótce sprzedawane po cenach umiarkowanych dostępnych dla wszystkich gości kąpielowych.

*** Dzienniki londyńskie opowiadają że młoda Angielka miss Beckwith przepłynęła znaczną przestrzeń 20 mil angielskich. Trudne to przedsięwzięcie wykonała miss Beckwith nie wskutek zakładu, ale tylko dla zachęcenia swoich współrodaczek do nauki tak pożytecznej, jak sztuka pływania. Dzielna młoda dziewczyna wypłynęła z mostu Westminster o godzinie 12tej m. 26. Kilka tysięcy ciekawych zgroma-

dziło się na mostach, a w chwili kiedy miss Beckwith ukazała się w kostiumie pomarańczowym i skoczyła do wody, głośne hurra dały się słyszeć ze wszystkich stron. Liczni amatorowie towarzyszyli miss Beckwith, która płynęła z nadzwyczajną szybkością. Nie zatrzymując się ani chwilki, przebyła mosty Lambeth, Battersca, Chelsea, Hammersmith, Kew, a o godzinie 5tej po południu dopłynęła do Richmond. Ztamtąd miss Beckwith nie zmęczona wcale, popłynęła jeszcze z powrotem aż do Mortlake, gdzie dopiero wyszła na ziemię po 7miogodzinnym pobycie w wodzie.

*** *Ślepy widzący.* Żebrak, prowadząc psa na sznurku przechadza się po bulwarach paryskich i szepce błagalnym głosem:

„Zlitujcie się nad biednym ślepym“.

Pieniądze sypią się do wyciągniętej ręki. Jeden niedowierzający przechodzień przypatruje się uważnie twarzy nieszczęśliwego i mówi surowo:

„Ależ zdaje się, że ty bardzo dobrze widzisz“.

— „Ach panie, mówi żebrak, to nie ja, to mój pies jest ślepy.“

*** Jedno z pism niemieckich podaje następującą korespondencyę z Paryża o bardzo ciekawym procesie, jaki w ostatnich czasach rozstrzygnął jeden ze sądów francuskich:

R. 1871 młody człowiek nazwiskiem Goupil otworzył w pobliżu placu broni Satory kawiarnię. Powodziło się Goupilowi świetnie, do czego niezawodnie pomagały wdzięki młodej jego żony, która siedząc za kantorem zalotnie delikatnemi rączkami wpuszczała cukier do filiżanek. Młody przystojny kapitan p. Jouan, jeden ze stałych gości owego zakładu, zakochał się śmiertelnie w pani Goupil, pozyskawszy wkrótce jej wzajemność. Miłośny ten stosunek trwał do 1874 r., zręcznie ukrywany przed małżonkiem bohaterki. Aż nareszcie p. G. przypadkiem odkrył tajemnicę, a zaopatrzywszy się w nóż wpadł do pokoju swej żony. Ponieważ jednak dzieci spały w tymże pokoju, a w pobliżu również znajdowała się służba domowa, Goupil pragnąc uniknąć skandalu wyszedł z mieszkania.

Następnego dnia zmusił swoją żonę do wydania nazwiska „amanta“, poczem napisał groźny list do kapitana Jouana. Kapitan obawiając się następstw szalonego gniewu Goupila, udał się 1876 r. do Algieru. R. 1877 wrócił Jouan do Francyi jako major, jako małżonek i ojciec dziecka.

Goupil dowiedziawszy się o powrocie Jouana, którego uważał jeszcze za bezżennego i obawiając się ponowienia miłośnego stosunku z panią Goupil, postanowił niegodnego swego współzawodnika, przesłać na łono Abrahama. Wyjeżdża tedy Goupil z Paryża i udaje się do Neufchateau, gdzie przebywał Jouan z garnizonem. Tu dowiaduje się, o której porze major opuszcza mieszkanie, czatuje nań i zabija na miejscu pięcioma rewolwerowemi wystrzałami. Wściekły małżonek pastwi się następnie nad trupem 7ma wystrzałami jakie w rewolwerach pozostały.

Po dokonanej zbrodni Goupil oddaje się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości w Epinal, gdzie po świetnej obronie swego adwokata — „zostaje uwolnionym“.

*** Dla gospodyń naszych przykład pouczający. W Wiesbadenie pani A. przyjęła nową służącą z najlepszemi świadectwami. Służąca wedle świadectwa ostatniej swej pani, którą nazwijmy B., miała się odznaczać nietylko pracowitością ale i uczciwością. Pani, polegając na podobnej opinii w kilka dni po przyjściu nowej służącej, wydaliła się za interesami z całą swą rodziną za miasto na dzień jeden. Wróciwszy do domu zauważyła pani, że nietylko służącej nie ma, ale i brak wielu kosztowności wynoszących około 1.200 marek. Poszkodowana wniosła do sądu skargę na panią B., która w błąd wprowadziła panią A. dawszy świadectwo służącej jako osobie uczciwej. Sąd skazał panią B. na zapłacenie pani B. 1.200 marek. Poszkodowana bowiem zawierzyła służącej opiekę nad domem, polegając na świadectwie pani A. Nie wiemy, jakby nasze sądy zapatrywały się na fakt podobny. Gdyż u nas nie wolno złych świadectw wystawiać służbie choćby złapanej na gorącym uczynku złodziejstwa. Dlatego u nas wszystkie świadectwa są jednobrzmiące a wszystkie sługi według tych świadectw są pracowite, uczciwe, trzeźwe.

PROCES O... TRYKOTY.

Do sądu karnego na przedmieściu wiedeńskiem, Leopoldstadt zwanem, nadesłano oskarżenie tej treści:

„Filip Löwinger, dyrektor teatru, uprasza, by wysoki sąd raczył przyjąć do wiadomości, że panna Aloiza Buttler, przy Margarethen, Feudigasse nr 6 zamieszkała, prima-ballerina u niżej podpisanego dyrektora teatrn, uciekła, sprzeniewierzywszy jedną parę trykot wartości 2 złr. w. a. 50 krajcarów.“

Oskarżenie to przesłano komisarzowi Karasek, pełniącemu zastępstwo prokuratora, który też wprowadził postępowanie karne przeciw obżałowanej.

Przed sądem stawili się osobiście: oskarżyciel i oskarżona.

Panna Aloiza Buttler, piękna dziewiętnastoletnia blondynka, urodzona w Wiedniu, mieszka przy rodzicach; poszkodowany liczy lat 27, urodzony w Preszburgu (na Węgrzech,) wyznania mojżeszowego.

Prezydujący sędzia dr. Weber, zwraca się do oskarżonej: „Słyszałaś pani jaki zarzut stawia jej p. prokurator, czy uznajesz się winną?“

Oskarżona: Ależ proszę ja pana, panie radco cesarski, popatrz na mnie i sam powiedz czy ja temu panu (pokazuje na poszkodowanego) mogłabym zrobić coś podobnego. To śmiech na czysto!

Prezydujący: Z fizyonomii pani trudno mi to odgadnąć, dlatego proszę ją raz jeszcze, na moje pytanie odpowiedzieć krótko: tak lub nie.

Oskarżona: No więc i pan, cesarski panie radco gotów jesteś uwierzyć, że ze mnie taka niepoczciwa osoba jak ten pan dyrektor utrzymuje. Ja, Bogu dzięki, jestem wiedenką, a chociaż tancerką, mam honor w sercu!

Prezydujący: Jak dotąd, nie umiem jeszcze zdać sobie sprawy z tego jej honoru, proszę przeto przystąpić wprost do rzeczy.

Oskarżona: Ano, to opowiem wszystko. Ten pan dyrektor zaangażował mię do tego swojego holenderskiego okrętu...

Prezydujący: Co pani rozumiesz przez okręt holenderski?

Oskarżona. A jego budę, niby teatr, panowie z prześwietnego cesarskiego sądu nie wiedzą gdzie to jest.... Ano, na praterze, od alei zaraz na lewo.

Prezydujący: Proszę dalej.

Oskarżona: Więc zaangażował mnie na miejsce pierwszej tancerki za 1 złr. 50 krajcarów od występu... jak pan myśli, czy to nie za mało? No, ja myślę sobie, teraz właśnie ferie, teatr opery zamknięty, pójdziesz Aloisiu na gościnne występy do prateru. Po pierwszem przedstawieniu wypłacił mi pan dyrektor 1 złr. 30 krajc., drugiego wieczoru dał mi tylko 40 krajc. (do oskarzyciela); może to nie prawda? (do prezydującego) A musiałam występować w zbrukanych trykotach i były bez mała za ciasne na mnie, bo trzeba panu wiedzieć cesarski radco, że moja poprzedniczka była chuda jak szczapa, więc wzięłam trykoty do domu, ażeby je rozpuścić, potem dałam do wyprania.

Prezydujący: Gdzie teraz są te trykoty?

Oskarżona (wyjmując z torebki parę trykot wątpliwej barwy): Oto są, patrz cesarski sędzio na te strzępy, czy to warte, żeby mnie za to pan dyrektor ciągał po sądach?

Prezydujący (do oskarżyciela): Pan jesteś dyrektorem teatru?

Löwinger: Do usług. Wprawdzie los twardo mię ściga i chociaż nie zapisano w księgach przeznaczeń bym wspaniałych zamków był posiadaczem, mogę jednak oddać sobie tę zasłużoną pochwałę, że wedle sił moich staram się zabawiać prześwietną publiczność Wiednia w okazałych salach prateru.

Oskarżona (do dyrektora): Idźże do licha, panie dyrektorze, gardłujesz jak na jarmarku.

Löwinger: „Na jarmarku!“ Oto patrz, prześwietny sędzio, tak ona szydziła ze mnie i za kulisami, jakkolwiek pierwszą u mnie była tancerką.

Prezydujący: Jeżeli nie wypłacałeś jej pan umówionego honoraryum, toć chyba różnica między pierwszą i ostatnią znaczną nie będzie.

Löwinger: Przez wyraz „pierwsza“ rozumiałem „jedyna.“

Prezydujący: I tej jedynej pozostałeś pan dłużnym?

Löwinger: „Pozostałeś dłużnym!“ Zacny panie sędzio, jeżeli państwo karci krnąbrnych swoich poddanych, czy wolno twierdzić naonczas, że państwo poddanym swoim dłużnem zostało? Tak więc, ta panna była mi nieposłuszną, spóźniła się na przedstawienie, naznaczyłem jej zatem, poenale 20 krajcarów i ściągnąłem je zaraz przy wypłacie honoraryum.

Prezydujący: A drugiego wieczora dałeś jej pan uczuć zwierzchnictwo swoje, potrącając 1 złr. i 10 krajcarów?

Löwinger: Ah! drugiego wieczora! O! panie sędzio, w życiu dyrektorskiem są chwile..... są wspomnienia czarne... Ten drugi wieczór kirem pokrywam żałobnym!.. cały dochód w kasie wynosił wówczas 1 złr. 20 kr., podzieliłem je uczciwie między moich współpracowników; dla panny tej przypadło okrągłe 40 krajcarów

Prezydujący: A gdy odda panu jego trykoty, czy będziesz pan zadowolony?

Löwinger: Wezmę je, utrzymuję jednak z wszelką stanowczością, że ona nie była w prawie, oddając je do praczki.

Prezydujący: Będziesz pan miał czyste przynajmniej, spożytkować je możesz jeszcze (do prokuratora): Proszę o wniosek ostateczny.

Zastępca prokuratora: Zważywszy okoliczności wyjaśnione w przebiegu ostatecznej rozprawy, oskarżenie moje cofam.

Löwinger: Mocno obowiązany, więc i ja cofnąć się mogę. Przy sposobności mam zaszczyt polecić się łaskawej pamięci.

Prezydujący wygłasza wyrok uwalniający pannę Buttler z pod zarzutu sprzeniewierzenia.

Piękna panna Aloiza robi dyg, sądowi prześwietnemu posyła całusa i opuszcza salę mrucząc: „Bogu dzięki, że to już koniec!“

Od Redakcyi.

W. Pan Marceli Sunderland w Filadelfii. List nasz widocznie zaginął na poczcie. Prenumeratę prosimy nadsyłać w pieniądzach europejskich lub w złocie amerykańskiem. Prenumerata może być uiszczana kwartalnie, półrocznie lub całorocznie. O listy z Ameryki prosimy. Reszta listownie po zebraniu informacyi.

OD ADMINISTRACYI.

Nr. 55 zawierający artykuł o Zyblikiewiczu został wyczerpany w skutek nadzwyczajnych reklamacyi o takowy i pojedyńczej sprzedaży. Dalsze więc żądania tego numeru uwzględnionemi być nie mogą.

SPROSTOWANIE.

W spisie rzeczy ostatniego Numeru wydrukowano przez omyłkę: „Piśmiennictwo polskie przez Józefa Tretiaka“ zamiast „Piśmiennictwo polskie przez B. L.“

Treść Nr. 57.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki**